

# Wilcze gniazdo



ZUZANNA MORAWSKA

# Wilcze gniazdo<sup>1</sup>

POWIEŚĆ Z CZASÓW KRZYŻACKICH<sup>2</sup> DLA MŁODZIEŻY DORASTAJĄCEJ<sup>3</sup>

Dawno to już, dawno, przy zwiedzaniu malborskiego zamku, wskazano nam stojący w obrębie jego murów budynek, nazywając go Wolfshöhle lub szkołą, w której niegdyś kształcono młodzież, zostającą pod opieką krzyżackiego zakonu. W lochach zaś zamczyska pokazywano otwory kanałów, prowadzących aż do odnogi Wisły. „*Tędy to nieraz uchodzili ludzie, przynosząc nie jedną biedę krzyżakom,*” — dodał oprowadzający.

Opowiadanie to nie schodziło nam z myśli, — w zamczysku, zamiast rzeczywistości, przesuwały nam się tylko zamierzchłe postacie. Zestawiwszy opowiadanie z wypadkami, zapisanymi na kartach historii, powołujemy owe postacie do życia, przedstawiając je młodym czytelnikom.

Z. M.

## I

Pomiędzy dwiema ścianami gęstego litewskiego lasu, stało wielkie ludzkie schronisko. Ba, i to nie byle schronisko, lecz jakoby zamek obronny. Na wysokim wzgórzu, na wzniesieniu grubych kłód, i nieociosanych bierwion modrzewiowych, stał dworzec długi, z jednej strony dziwnie jakoś od dachu spuszcający się ku ziemi, — tak jak oto czasami drzewo, które wyrosło z korzenia, nie od razu strzela ku górze pniem prostym, lecz nie mogąc oderwać się od łona swej karmicielki, wyrasta pochyło, czepia się jej jeszcze odroślami, wreszcie wzmocnione, prostuje pień i rozszerzając gałęzie, roztacza z nich osłonę szeroką, lecz przysadkowatą.

Z takich to drzew wziął i człowiek wzór wznosząc dla siebie mieszkanie.

I zamczysko na wzgórzu nie inaczej było sklecone. Wyrastało od jednej strony pochyło, aż od drugiej wzniosło się wysoko, i jak drzewo gałęziami, tak zamczysko szeroko rozpiętym dachem osłaniało swoich mieszkańców. Ściany tego schroniska były z wierzchu tak gęsto chrustem obłożone od stóp, aż do okapu tak utkane mchem, gliną i tak razem zbite i złączone, iż próżnobyś szukał, co tam jest pod tą grubą warstwą, — drzewo czy kamienie.

Wśród tej warstwy zwierzchniej, widać było tylko czworokątne niewielkie okienka, w które wiosenne promyki słońka gwałtem się wciskały, jakby ciekawe, co tam we wnętrzu się dzieje. Lecz żółto-białe pęcherze, którymi przesłoniono okna, walczyły z promykami słońka, wydając tylko od czasu do czasu mrukliwy trzask, to jest, gdy wysuszone zwierzchnie żyłki pęcherza, kurcząc się pękały. Lecz jeden otwór nie zasłoniony był pęcherzem, a od wnętrza odsunięta drewniana zaporą łatwo przepuszczała ciekawe słońko, które wnikałszy do głębi, zawstydzając swoją świeżością czerwono-żółte światło ognia,

<sup>1</sup> *Wilcze gniazdo* — tekst nieuwpółcześniony, z dawną, nieujednoliczoną pisownią i nieznormalizowaną interpunkcją. Nieodpowiedni do samodzielnego czytania dla młodszych dzieci, uczących się współczesnej polskiej ortografii. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *Wilcze gniazdo, powieść z czasów krzyżackich* — wydanie źródłowe z 1889 r. zawiera 5 rycin St. Witkiewicza. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *Wilcze gniazdo, powieść z czasów krzyżackich dla młodzieży dorastającej* — tekst zawiera drastyczne opisy, m.in. samobójstw, dlatego o dojrzałości młodszych dzieci do takiej lektury powinni zdecydować opiekunowie. [przypis edytorski]

rozchodzące się na całą izbę od palącej się kłody drzewa, na trzonie ułożonym z płaskich kamieni.

Dym, wychodzący z pod szerokiego okapu nad trzonem, znajdował obszerne ujęcie otworem w dachu. Ten wielki trzon, buchający ogniem i światłem, był przyjacielem całej rodziny. Obecnie jednak odwracano oczy od ognia, wyglądając rychło słonko wszystkich ze schroniska wywabi. A słonko wyrzawszy z za mgły gęstej, przedarłszy jej sino-białą oponę, rzuciło cały snop promieni. Promienie te były jasne, wesołe i uśmiechnięte, jak to zwykle na wiosnę. Igrały więc i ze śniegiem i z wodą, błyszcząc w niej miliardem światła, aż zawisły złotymi smugami na skraju czarnego lasu, który wierzchołkiem wyniosłych sosen strzelał ku górze.

I woniało w powietrzu od rozgrzanych iglic świerkowych a sosnowych, woniało świeżością ziemi wypuszczonej z pęt zimowych, a też i wodą szumiącą, której dostarczały coraz więcej śniegi rozplywające się pod wejrzeniem wiosnianego słonka. Niekiedy zaświergotało ptaszę, wzniosło się ku górze i przysiadło na świeżej roli... Tam znów robaczek wywabiony ciepłym podmuchem, wypełzał z ziemi i znów skrył się w czarne jej łono, nie mając jeszcze dosyć odwagi, aby stawić czoło niebezpieczeństwu, które nań czyhało w postaci maleńkiego skowronka. Z lasu dochodziły również odgłosy, to łamanie się i trzask gałęzi, to ryk dzikiego zwierza, który przeczując powrót wiosny, wychodził ze swoich kryjówek, aby szukać jasnych ożywczych promieni. W ludziach, jak i w całej przyrodzie, rozbudziło się życie, ostrą zimą uspione; dzieci chwytaly wdzierające się przez okna promienie, dziwiąc się, że mimo mozolnych usiłowań, nie mogą ich w rękach utrzymać.

Stary zaś Tubingas, pan zamku, nieopuszczając przez całą zimę łoża okrytego niedźwiedzią skórą i wpatrzony ciągle w wielkie ognisko swej komnaty, odwracał teraz coraz częściej głowę w stronę największego, nie zawartego ni zaporą, ni pęcherzem okna, aż wreszcie dnia jednego klasnął w potężne dłonie. Z sąsiedniej izby wychyliła się młoda niewiasta, pytając:

— *Ko notet, Tew's Kunige?*<sup>4</sup>

Starzec ręką wskazał na wdzierające się słońce rzeki:

— *Saule Szilditis*<sup>5</sup>.

Kobieta roześmiała się radośnie, pokazując białe zęby i żywo wybiegła napowrót, a w zamczysku zapanował ruch niezwykły. Dziecięce głosy powtarzały szczebiotem: „*Saule szilditis!*”; powtarzały też same wyrazy usta niewieście, a gdy z powagą wymówiły te wyrazy usta dojrzałych mężów, cała drużyna skupiła się około Tubingasa. Wtedy wszyscy wyszli przez niskie drzwi schroniska, a spuszcżając się przez most ułożony z chrustu i kamieni, ciągnęli do ciemnego nieopodal stojącego lasu.

Tubingas był niegdyś jednym z najmężniejszych Litwinów. Nieraz Lachom, ba i Krzyżakom dał się we znaki, lecz już od lat wielu mógł tylko jako Kunigas przewodniczyć ludowi, prowadząc go na doroczne obrzędy. Prowadził go więc i teraz na powitanie wiosennego słońca.

Z siwą sięgającą aż do pasa brodą, oczy mając otwarte, lecz tak dziwnie nieruchome, iż od razu poznać mogłeś, że one ni owego jasnego słonka, ni ziemi pod stopami, ni czerniejącego lasu nie widzą. A jednak starzec szedł prosto i krzepko, podpierając się grubym sękatym kijem, czasem tylko wyciągnął lewą dłoń przed siebie, nie wiedzieć, czy aby poszukać nią miejsca, czy też by usunąć zawadę, gdyby się jaka na jego drodze znalazła. Obok niego szedł z jednej strony młody silny mężczyzna. Był to wnuk jego, Chroniwos. Mimo wczesnej pory nogi miał obnażone, a tylko stopy obute w łapcie z kory przywiązanej rzemieniem, za to skóra, futrem do ciała obrócona, ściągnięta w pasie rzemieniem, okrywała go od ramion aż po kolana, za pasem zaś sterczał zatknięty topór. Ramiona również jak i nogi były wolne od odzieży, a silne i żyłaste dłonie same już zdawały się być obroną. Po drugiej stronie starca szła znana nam już niewiasta, Dowrusa, żona Chroniwosa. Odzież jej niczem nie różniła się od ubioru męża, ino głowę miała owiązaną białą chustą, której długie końce spadały na plecy czerwono-żółtej skóry kozucha, a drugą taką chustę przewieszoną miała przez ramię. Tuż obok niej biegło kilkuletnie chłopię,

<sup>4</sup>*Ko notet, Tew's Kunige* — Czego chcecie, ojciec-kapłanie. [przypis autorski]

<sup>5</sup>*Saule Szilditis* — Słonko grzeje. [przypis autorski]



Siewrosem zwane, na którego głowie matka od czasu do czasu z widoczną miłością kładła dłoń swoją. Po za nimi szło jeszcze kilka dziewczek Chroniwosa, szła liczna czeladź mężka i żeńska, a z chat, co stały rozrzucone u stóp wielkiego schroniska, również wychodzili mężowie, niewiasty i dzieci, by wspólnie z wojem-kapłanem oddać cześć wiośnie.

Szli więc wgląd lasu na niewielką wyciętą polanę, gdzie pośrodku stał dąb wyniosły. A dąb to był dziwny. Niski, gruby od korzenia, wyrastał na kilkanaście silnych i krzepkich gałęzi, szeroko a rozłożyste, które wznosząc się ku górze, skupiały się razem i tworząc jakby w wieniec ubraną głowę na szerokich barkach olbrzyma. Korzenie tego olbrzyma powychodziły na wierzch daleko, a wokół nich ręka ludzka, czy natura wyłobiła wgłębienie, tak, że całe drzewo otoczone było obronnym rowem, w który pobożne dłonie nawrzucały kamieni mniejszych i większych. Z jednej strony kamienie te ułożone w stos, coraz wyżej, stanowiły schody, po których można było wejść aż do gałęzi tworzących koronę. U stóp tych schodów, kilka kamieni, wgłębionych płasko w ziemię, służyło za trzon, na którym zwęglona i dogasająca kłoda drzewa świadczyła o składanej wiecznie płonącej objacie.

Tubingas, mimo zagasłych oczu, kroczył prosto do tej świątyni. Dziecięciem składał tutaj objaty, przez życie całe wiódł syny i wnuki, łatwo mu więc było trafić do tego miejsca.

— Dogasa ogień — rzekł stanąwszy przed dębem i wciągnąwszy w siebie powietrze, przepehnione żywicznym dymem. — Dogasa, lecz nie zgaśnie, bo światło z góry da mu iskrę świętą.

I to mówiąc, trzymanym w ręku kosturem odkrzesywał zwęglone cząstki drzewa, Chroniwos zaś rzucił pęk suchych korzeni i krótko połamanych gałęzi, które jeszcze w jesieni zatknął pod powalę, izby, wyschłe przez zimę, posłużyły do podsycenia wiosennego ognia. Wślad zaraz za mężem, rzuciła Dowrusa pęk zboża i ziół przeróżnych, również na ten cel przetrzymanych w chacie, po niej zaś Siewros, chłopczyną, rzucił garść zboża. Przystępowały potem dziewczęta i czeladź, a wszyscy przybyli dorzucając zeschłe zioła i korzenie, wołali:

— Cześć słońcu, cześć wiośnie!

— Cześć słońcu, cześć wiośnie! — powtarzano do koła. Powoli głosy te przeszły w jakiś śpiew tęskny, a ogień wznosił się, rozlewając szeroko. Dąb stary szumiał tam w górze rozłożystemi konary, jakby przywtażał śpiewom smętnym zebranej drużyny. Drzewa chyliły wierzchołki, podając jedne drugim ów śpiew błagalny, który zlawszy się w jedną harmonijną całość, szumem rozniosły od polany do polany jedność objaty świętego ognia, Zniczem zwanego.

Lecz wtem, wśród szumu drzew i tęsknego śpiewu, dał się słyszeć łomot gałęzi i ciężki tętent koni, a nawet chrzęst i szczęk broni.

Nagle umilkły śpiewy, a natomiast wzniósł się okrzyk trwogi i przerażenia. Tubingas ścisnął pięść, aż zatrzęszczały członki krzepkiej jego dłoni, i rzucił przekleństwo, a z niem razem polano w palący się ogień, i nie odwracając zagasłych oczu od płomienia, stał nieruchomie. Lecz Chroniwos sięgnął za topór, będący za pasem, bo po tym odgłosie poznał odrazu nieproszonych gości, z którymi już nieraz chodził w zapasy.

Nie potrzebował też czekać długo, bo oto z gęstwiny, co otaczała polanę, ukazało się kilkunastu jezdnych na koniach, a nakreślony biały krzyż na ich lekkich zbrojach, łatwo dawał poznać, jacy to byli przybysze.

— Niewiasty do schronisk! — krzyknął ochrypłym z przerażenia głosem Chroniwos, ujrzawszy wylaniające się postacie. I począł szykować się z czeladzią do boju.

— Do schroniska z dziećmi! — powtórzył groźnie, spojrzawszy na Dowrusę, tulącą do kolan chłopię i na skupiające się około niej dziewczęta, gdy tymczasem reszta niewiast i dzieci z krzykiem w las uciekały. Dowrusa nie posłuchała jednak głosu męża, stała nieruchomie, jak gdyby widok przybywających zamienił ją w martwą postać pilnującą świętego ognia. Dopiero Chroniwos krzyknął:

— Siewrosa ocalić!

Dowrusa drgnęła, pochwyliła syna, owinęła przewieszoną przez ramię płachtą, i go do piersi, uciekać co tchu poczęła, a za nią trzymające się jej rańtucha dziewczęta.

Wielki też był czas potemu, bo przybysze otoczyli polanę dokoła, a krzyk dochodzący z lasu świadczył, że musiało ich tam być więcej w gęstwini, czyhających na zdobycz, która im się łatwym sposobem w uciekających nastręczyła.

Przybyli nie myśleli jednak staczać walki, lecz rzucili się na bezbronną a jednak gotową do obrony gromadkę i jęli wiązać, nie żałując przytem razów.

Chroniwos, nie czekając napadu, bronił przysępu toporem, wyjętym z za pasa, a inni, choć zlekka uzbrojeni, dopomagali mu w walce.

Tubingas, nie odwracając się od dębu, szeptał ciche wyrazy, zaciskał pięści, i podsycał ogień, jak gdyby walka wrząca wokoło, wcale go nie obchodziła. Aż wreszcie przypadł któryś z krzyżaków do niego i uchwycił za skórę kozucha, otaczającego obrosły kark staroego kapłana. Tubingas szarpnął się i przypadł ku ziemi, a szarpnięcie musiało być nie lada, gdyż w ręku krzyżaka zostało kawał skóry, okrywającej krzepkie ciało starca.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się napastnik, schylając się, by porwać swoją ofiarę, gdy tymczasem Tubingas, odwróciwszy się rzucił mu w twarz gorejącą kłodą drzewa, która rozsypując drobne węgle i odłamki gorejące, raniła bliżej stojących.

— *Teusend Teuffel!* — wrzasnęli oślepieni ogniem i dymem.

Tubingas zaś brał gołemi rękami zarzewie i rzucał je do koła, a pociski były tak celne, iż każdy, co się usiłował przybliżyć, padał oślepiiony, lub uciekał, wrzeszcząc:

— *Teuffel! Es ist selbst Teuffel!*

I rzeczywiście można było przypisać jakąś nadprzyrodzoną siłę ślepemu starcowi, broniącemu się tym świętym ogniem, któremu cześć oddawał. Lecz spojrzawszy na dłonie jego szerokie, grube, jakby mułem porośle, można było uwierzyć, że w dłonie te, jako w żelazne kleszcze, brać mógł żar bezkarnie.

I cofali się przed tą jego bronią krzyżacy, strachały się oślepienie konie, tratując zarówno upadłe ciała panów swoich, jak i broniących się Litwinów.

A był to mały oddziałek krzyżacki, który, często w kilkadziesiąt koni, na ochotnika przedzierał się przez litewskie lasy dla zdobyczy skór, a głównie niewolnika. Najznakomitszą jednak zdobyczą, były dla nich małe litewskie chłopięta; pojmwawszy je, hodowali, ucząc się od nich niektórych wyrazów litewskiej mowy, przyuczając swojej i zmuszając zarazem podczas napadów do wskazywania dróg, sobie nieznanych. Wychowane chłopię wśród wrogów, gdy ujrzało się na ziemi swojej, gdy owionął je szum lasów, lub doleciał dźwięk mowy, nie znając niebezpieczeństwa, na jakie narażało swoich, z wyciągniętymi rękami biegło do miejsc sobie drogich, wskazując bezwiednie drogę do kryjówek, im tylko znanych. To też i teraz przybyli, nie widząc dla siebie dostatecznej zdobyczy, wyparciu żarem, rozbiegli się po za polanę. Kilku tylko zajadłych obstało Chroniwosa, który cięciem topora zadawał razy, nie dając do siebie przystępu.

Lecz naraz ujrzawszy opróżnioną polanę, jak lew rzucił się za goniącymi w stronę schronisk wrogami, a torując sobie drogę toporem, pędził na pomoc tym, którym, jak sądził, żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Wśród biegu zdało się, iż słyszy głosy niewieście i płacz jękliwy dziecięcia.

Wtem ciężki miecz spadł na jego ramię; ugiął się pod tem uderzeniem, jęknął, chciał biedz mimo to dalej, lecz zachwiał się i runął na ziemię, tuż na skraju polany. Krew trysnęła z przecięgo ramienia, tocząc czerwoną smugę na zieleniejącą pod wiosennym słońkiem ziemię...

Wkrótce tętent cichł powoli, zda się przybyli w dal pomknęli, ino tam od schronisk dochodziły jęki, roznosząc daleko wieść o napadzie na spokojne siedlisko Litwinów. A wśród jęków wiatr echem powtarzał rozpaczliwe wołanie niewieście:

— Siewros! Siewros!

Jakieś wycie nieludzkie, jakby zranionej wilczycy, której wilczęta zabrano, napełniło powietrze. A głos ten górował nad innemi, również nabrzmiałemi rozpaczą, mieszał się z tętentem koni, jękiem rannych i szumem lasu... Słonko tymczasem, rzuciwszy ostatnie promienie, skryło się za czarną chmurę. Tubingas pozostawszy na opróżnionej polanie, wstrząsł się na te odgłosy: dorzucił na ogień nową kłodę drzewa, kopnął nogą czepiającą się stopy jego jakąś dłoń chłodną, odwalił ciało okryte półbroiczką, i siedł za odgłosem tych jęków, co do uszu jego dolatywały. Tak idąc z kosturem i ręką wyciągniętą przed siebie, pośliznął się o krew niezakrzepłą i potknął o leżące ciało. Jęk cichy wyszedł z niezmarłej jeszcze piersi...

Tubingas pochylał się i przytknął usta do czoła leżącego.

— Chroniwos! on mój ostatni! — jęknął starzec i objął wnuka szerokimi ramionami.

— Żyje! żyje! lecz gdzie rana! — i zaczął jej szukać na ciele wnuka.

A od strony schroniska pędziła postać niewieścia. Odzież na niej poszarpana, ramiona poranione, włosy rozwiane świadczyły, iż wyrwała się ze strasznej walki. Biegła z oczami w słup stojącymi, rękami rwała włosy, lub rzucając nimi przed siebie, z całych sił jęklwym głosem wołała:

— Siewros! Siewros!

Z tym jękiem Dowrusa padła tuż obok rannego męża i starego Tubiagasa.

## II

Kilkunastu różnego wieku chłopców bawiło się w wielkiej izbie. Okna wąskie, umieszczone wysoko, wpuszczały nie wiele światła, nadając jej mimo panującego gwaru i śmiechu jakąś cechę ponurą. Drągi, drabiny, kozły wysokie naksztalt koni, oraz okrągłe kule, które chłopcy podrzucali do góry, dostarczały zabawy. Szwargotali między sobą po niemiecku, lecz w żywszej jakiejś walce, wybuchu radości, gniewu, wyrzywał się wyraz polski lub litewski, co od razu wskazywało pochodzenie całej tej drużyny.

— Hej, ty, Fryc, chcesz się ze mną spróbować, zawołał mały, krępy, przysadkowaty chłopak, podsuwając jeszcze wyżej i tak dość kuse rękawy wełnianego odzienia, i stając przed cienkim, długim towarzyszem, który żyłastymi rękami wdrapywał się na drąg wysoki.

— Słuchaj, Fryc! czyś ogłuchł, czyś się zrół z tym drągiem! — wołał niecierpliwie krępy towarzysz.

— Daj mu pokój — ozwał się inny — on się tak wyciągnął, że ino skóra oblepiona, a uszy się w drąg schowały.

— Uderz go w piętę, to się skóra skurczy, a i uszy na wierzch wyleżą, — wołał inny.

A nie czekając, aż ktoś tego dokona, przybliżył się do wchodzącego na stojący w środku drąg chłopaka. Wyrostek ów rzeczywiście tak przyłgnął do owego drąga, i tak się wydłużył, iż można było wziąć go zdala za jakąś kunsztownie wykonaną płaskorzeźbę. W chwili jednak gdy towarzysz przybliżył się do słupa, dał dowód, iż nie był przylepiony, bo wskoczył wprost na ramiona stojącego pod słupem chłopca, a przysiadłszy na nich, zeskoczył zwinnie na ziemię, wśród oklasków i śmiechu wszystkich towarzyszy. Potem wyciągnąwszy pięść do góry, zawołał:

— Słuchajcie, jak mnie który raz jeszcze nazwie Frycem, to mu kości pogruchocę.

— Ba, a jak cię nazwę inaczej, to nam wszystkim Hex skórę wyłoi! ozwał się przysadkowaty towarzysz, ten sam, po którego karku Fryc zsunął się na ziemię.

— No, a jak ci tam, jakoś... eh, djabeł zapewne, bo jak złe wszędzie się wdrapie i zewsząd zeskoczy, rzekł ten, który go najpierwszy do walki wyzywał.

— A wolę być djabełem, niż Frycem! zawołał chłopak butnie.

— A żebyś na drugi raz wiedział, że mnie *Siewros* zwano, masz dla pamięci.

I ująwszy za bary mówiącego rzucił go o ziemię.

A inni krzyczeli radośnie:

— Chwat Siewros!

— Ritter, Siewros!

— Djabeł, Siewros!

— Zuch, Siewros!

— Nasz, Siewros!

I krzyząc podskakiwali radośnie. Tymczasem rzucony na ziemię chłopak, powstał żwawo, porwał w pół wysokiego i chudego Siewrosa, podniósł go ku górze, a gdy ten złożywszy się, ujął trzymającego za bary, ten postawił go dopiero na ziemi, a zarzuciwszy ręce na szyję Siewrosa wołał:

— Niech żyje Siewros! nie ma już Fryców, Hansów, a są Siewrosy, Jaśki...

I ściskali się obydwoj, jak gdyby przed chwilą nie było między nimi bójki; inni zaś krzyczeli:

— Hura! niech żyje Jasiak i Siewros, nie ma już Fryca ni Hansa.

— A i ja nie Ferdynand ino Maciek.

— A i ja nie Franc ino Franek! powtarzano dokoła. Wrzawa wzrastała, chłopcy z całą serdecznością ściskali się, a ta serdeczność dziwnie odbijała od niemieckiej mowy.

W tem drzwi się otworzyły i wszedł człek wysoki, barczysty, w ciemnej odzieży o nieprzyjemnym wejrzeniu i z progu głośno zawołał:

— *Still, junge Wölfe!*

Chłopcy, którzy nie słyszeli wśród wrzawy, ani otwierających się drzwi, ani też nie widzieli ukazania się dozorczy, na głos jego odrazu ucichli, a twarz każdego z wesołej zarumienionej i ożywionej bójką i zabawą, zmieniła się nagle, i pobladła, przybierając wyraz jakiś chytry i podstępny.

— Ach, wy, nikczemne, wilcze pokolenie, wężowy rodzie, czego wrzeszczycie! Głodem a powrozem ujarzmić was tylko, a pokonać, ciągnął dalej niemiecką mowę.

— Który z was tutaj najwinniejszy?

Cisza zaległa izbę, — wśród której tylko oddech przyśpieszony zmęczeniem słychać było owych dziesięciu chłopiąt, wychowywanych pod okiem stojącego obecnie wśród nich Hexa.

— Kto najpierwszy był do krzyków! wrzasnął Hex powtórnie.

Jeszcze większa zaległa cisza. Powstrzymano nawet oddech, a zda się, że uderzenie dziesięciu serc młodocianych można było policzyć.

— Odpowiadać, — kto pierwszy wszczął bójkę!? I... spuścił żylastą dłoń na ramię Siewrosa. Chłopiec nie drgnął nawet, oka nie zmrużył, tylko ze zwykłą sobie zręcznością usunął się z pod żylastej dłoni dozorczy.

— Ty! będziesz mi umykał! wrzasnął rozwścieczony dozorca. — Zgniotę cię, ty podłe litewskie szczenię, — zgniotę was wszystkich! a nie miarkując się w gniewie, porwał za gardło najbliższej stojącego. Lecz zamiast krzyku z piersi chłopięcia, wyrwał się krzyk z gardła Hexa, do którego ręki porwany za gardło wszczepił zęby z taką zajadłością, iż zda się chciał odgryźć ją całą. Po chwili chłopiec odjął zęby, nic nie rzekłszy, — splunął tylko i patrzył błyszczącymi oczyma, jak z ręki Hexa krew się polała. Inni oniemieli, lecz znać było, iż trzeba tylko lekkiego podmuchu, a wszyscy, jak ich było dziesięciu, rzucą się na znienawidzonego niemca. Ten syknął z bólu, zaklął straszliwie i wyszedł zaryglowawszy drzwi za sobą.

Chłopcom odechciało się jakoś zabawy, każdy został, gdzie stał, spoglądając na towarzyszy. — Mijały chwile, nikt nie wchodził, chłopakom sprzykrzyła się cisza. Jeden drugiego popchnął, któryś krzyknął:

— Bawmy się w Hexa.

— Dobrze, odpowiedziano gromadnie; ale kto będzie Hexem?

Nikt się nie znalazł, gwar powstał, rzucano kulkami do góry, lecz Hexem nikt być nie chciał. W końcu głód doskwierać zaczął, żaden jednak nie obwinił współtowarzyszy.

— Ale to oni nas tu o głodzie trzymać będą! zawołał chłopiec Francem zwany.

— Ba żebyśmy przynajmniej jak Hans krwi Hexa pokosztowali, toby i głodu czuć tak nie było; zawołał inny.

— Słuchajno, już ci Siewros zapowiedział, że tu nie ma Hansa ino Jaśko, a jak mi raz jeszcze tak się ozwiesz, to cię to samo co Hexa spotka.

— Oh, jak się to zaprawił! poczęto wołać, śmiejąc się, lecz w tej chwili skrzyknęły drzwi i zamiast Hexa, ukazała się żona jego Kobolda. Drobna i chuderława niewiasta, o małych i biegających oczach, miała silne i wielkie ręce, jak gdyby na postrach chłopców od kogo innego pożyczone.

— O moje dzieciaki, moje wilczki kochane, — mówiła niemczyzną Kobolda, — rozbrykałyście się, jak widzę, trzeba was trochę wziąć do łaźni. Post i łaźnia wrócą was do pokory jak należy i wszelkie krzyki z głowy wybiją.

To mówiąc, otworzyła drzwi w podłodze, a biorąc za kark jednego po drugim, popychała w głąb do podziemia. Chłopcy tak butni przed chwilą, spokojnie poddawali się żylastym dłoniom Koboldy, która wszedłszy ostatnia za nimi, drzwi zamknęła za sobą.

W izbie, przed chwilą gwarnej, zapanowała najzupełniejsza cisza, tylko tam z po za drzwi zamkniętych dochodził plusk wody, a czasem okrzyk, lub jęk bolesny. Dla dopełnienia bowiem wychowania dzieci, zabranych do niewoli przez Krzyżaków, była łaźnia, w której chłostą uczono je pokory i uległości.

Chociaż izba, w której spotkaliśmy bawiących się chłopców, zwana była szkołą, po okrzykach jednak i całej rozmowie łatwo się domyślić, że chłopcy byli w niewoli. Krzyżacy bowiem wzięwszy litewskie lub mazurskie chłopię, starali się całem wychowaniem zatrzeć

w nich pamięć o pochodzeniu. W tym celu w obrębie Malborskiego zamku wzniesiony był obszerny budynek, mieszczący zarazem wychowalców i Hexa z żoną, umyślnie sprowadzonych z głębi Germanii dla opieki nad dziećmi, jak ich nazywano, młodemi wilczkami. A i cała też szkoła zwaną była *Wolfshöhle* (wilcze gniazdo).

Grube mury, okna wysokie, wąskie, wgłębione izby sklepione nadawały pozór smutny i ponury, różniący się najzupełniej od szerokich pól, lub szumiących lasów, w których chłopięta spędzili najpierwsze dziecięce lata. Chłopcom kazano przedewszystkiem zapomnieć ojczyźnej mowy, uczono niemieckiej, wszystko zaś, co tylko chytry i przebiegły wymyślić zdołał, wpajano w umysły i serca młodzieńcze, a przy tych naukach obznajmiano z zasadami wiary Chrystusowej. Na takich warunkach wiara ta nie mogła przyjąć się i rozrosnąć; jeżeli w którym sercu rozbudziło się uczucie ku nowej wierze, to chyba rozniecił je widok obrazu w kościele, gdzie Chrystus z miłością przygarniał dzieci ku sobie, lub też wielki posąg Matki Zbawiciela stojący w zagłębieniu zamkowego muru a tulący do piersi dzieciątko<sup>6</sup>. Nie raz chłopię, wbiegłszy na podwórzec zamkowy, wpatrywało się w ów posąg, przypominając sobie chwile, kiedy i jego do piersi tulono... Wtedy dźwięczała mu w uszach pieśń, którą go kiedyś macierz do snu usypiała. A chwila taka psuła długie krzyżackie nauki....

### III

W podziemiach tuż obok owej łaźni na słomie leżało dwóch chłopców. Obszerna choć ciemna izba służyć mogła również dobrze za składy jak i więzienie. I rzeczywiście znać też miała ona przeznaczenie podwójne, bo oprócz dwóch chłopców, było tam dużo przewróconych do góry dnem wielkich beczek, lub nagromadzonych klepek drewnianych i obręczy żelaznych z rozsypanych i bezużytecznych statków. Światło wcale nie dochodziło, a tylko wzrok przyzwyczajony do ciemności z trudnością mógł rozróżnić otaczające go przedmioty.

— Jak myślisz, na długo nas tu zamknięto? — ozwał się jeden z chłopięt, przysuwając się do towarzysza.

— Bo ja wiem! a pewnie posiedzimy. Postawili nam dzban z wodą, ba i kęs chleba. Odpowiedział drugi.

— Hm! hm! mruknął towarzysz. A gdybyśmy też tak spróbowali wydostać się raz jeszcze na swobodę?

— Ba, ale jak, czarno jak w kominie, ani nawet szczeliny, przez którąby się wydostać. Jeszcze ty cienki jak piskorz, przecisniesz się wszędy, ale ja!

— Eh, byleby tylko rozpatrzeć się, to się ta obaj przecisniemy, a jak po za murem to i jakoś pójdzie, odparł chłopak zwany piskorzem.

— Aha, po za murem, łatwoć to wyrzec, ale jak się dostać, a jak nas jeszcze raz złapią, to im się nie wykręcimy, żeśmy chcieli obaczyć, czy pod murem zamkowym gniazd nie ma, rzekły chłopak biadający nad swoją rozrosłą postacią, która mu się przecisnąć przez byle jaką szczelinę nie dozwalała.

— No tak i co, — siedzieć tu w ciemnicy będziemy? lepiej niech nas raz już uśmiercą, aniżeli tak kryją po lochach, zawołał jego towarzysz.

I nastąpiła chwila ciszy.

— Słuchajno Siewros, dawno ty tutaj między Krzyżaki? — przerwał milczenie ów grubas.

— A pewnie, że dawno! Ot, byłem chłopię, co się w byle chwastach a między zbożem skryć mogło, a teraz sami przecie mówicie, że jak się wyciągnę to nie ledwie jak słup w szkole długi.

— To ci chleb krzyżacki jakoś poplagował. A żeś to do Niemców ze szczętem nie przyrósł.

— Ja, do Niemców! zawołał z oburzeniem Siewros. Toś ty jeszcze chyba nie poznał, co to za gady, kiedy się dziwujesz, żeś jeszcze do niemców nie przystał.

<sup>6</sup>widok obrazu w kościele, gdzie Chrystus z miłością przygarniał dzieci ku sobie, lub też wielki posąg Matki Zbawiciela stojący w zagłębieniu zamkowego muru a tulący do piersi dzieciątko — płaskorzeźba na drzewie niedoładnego dłuta ze śladem farb, wyobrażająca Chrystusa błogosławiącego dzieci, znajduje się dotąd w kościele po krzyżackim w Malborgu. Posąg Matki Boskiej, olbrzymiej postaci we wnęce zamkowej. Obadwa mają być zabytkami trzynastego wieku. [przypis autorski]



— A juści, niepoznałem! Toć już dwa roki minęło na gody, jak oni mnie przyprawdzili.

— To możeś ty z jakich Niemców?

— Coś ty wyrzekł Siewros! ja z Niemców! nie powtarzaj tego, bo się żywy z mojej garści nie wydostaniesz! zawołał znany nam już Jaśko, zacisnąwszy pięść z taką siłą, aż kości zatrzęszczały.

— No, — nie gniewaj się bracie, ja tylko chciałem się upewnić, czy i ty tak jako ja wrzesz na Krzyżaki.

— Ho, — a może więcej! oni to między nas tam daleko jako świnię w szkodę włożą, — ba gorzej, boć świnia szkodę zrobi w polu, a ludzi żywi, a Krzyżak pole zniszczy, a człeka połknie!

— Eh!? a to oni człeków żywcem zjadają? zapytał niedowierzająco z pewnym strachem Siewros.

— Ba, gorzej jakby zjedli, bo ciągną ot pod swoje zamczysko!

— Ta, prawda, gorzej! jakby raz zjedli, toby mowy dziwnej nie uczyli! mówił Siewros powoli, jakby sobie chciał coś przypomnieć

— A ty dawniej miałeś inną, nie krzyżacką mowę? zapytał Jaśko.

— A jakże, a przecie nasza mowa to jak szum lasów, gdy wiatr powoli iglicami drzew kołysze, a taka, że chociaż już skończył, to ci się zda że jeszcze w uszach dźwięczy: nie, ale ja jej przypomnieć sobie nie mogę.

— Oho, ja jeszcze pamiętam, a wciąż mi się płacze między niemieckie wyrazy, a pieśni w uszach grają, co je na polach a w kościołach śpiewają.

I Jaśko, jakby idąc za własną myślą począł cichym głosem: Po nad Wisłą... po nad wodą... wrogi straszne kroczą... nie dam ciebie, dziecię moje... nie dam cię mój synu!...

— Ba, tak mi to macierz śpiewała, mówił już dalej niemiecką mową Jaśko, a no przyszli zabrali, ba i jam wszystkiego zapomniał!

— U nas nie taką, inszą mową śpiewają, ale ja już swojej nie baczę! rzekł Siewros i zamyslił się smutnie, a po chwili dodał:

— A no, próżno, tutaj w ciemnicy żyć nie możemy! trzeba się wydostać.

— A trzeba, powtórzył Jasiak. I to mówiąc całą siłą kopnął nogą kadz obok stojącą.

Przegniła klepka rozsypała się pod uderzeniem silnego chłopaka, a jakaś nie miła woń zgnilizny rozeszła się do koła, lecz z nią zarazem i ciąg wiatru doleciał.

— Oh, a toś jeszcze do ciemnicy i zgnilizny napuścił! rzekł Siewros, wstając z ziemi i prostując swoje długie chude nogi. Eh, a to tam ciągnie jakby ode dworu! zawołał nagle.

— A może tam jakie przejście, dodał.

— A może. I Jaśko jeszcze silniej w stojącą przed niemi kadz nogą uderzył.

Wyłom większy się zrobił, a wpadająca wewnątrz klepka chlupnęła najwyraźniej w wodę, ale gdzieś bardzo głęboko.

Woń jeszcze szkaradniejsza napełniła podziemię, lecz teraz najwyraźniej przeciąg już czuć się dawał.

— Cuchnie, bo cuchnie, — rzeki Siewros, — ale tu dochodzi wiatr, to może... W tem usłyszeli odgłos kroków, ale to tak tuż jakby około nich kto przechodził.

Przycichli obaj, i po omacku odsunęli się od owej beczki, siadłszy na jakichś deskach.

Zdawało im się, że ktoś wchodzi, chwilę siedzieli cicho. Stąpanie dochodziło ich uszu, lecz stąpanie było zdala, a chód to był nie jednego człeka, lecz jakby oddalony tętent koni. Chłopcy spojrzeli na siebie, oczy im w ciemności zabłyśły, mimowoli wstrzymali oddech, ażeby się upewnić czy ich słuch nie myli i milcząc ścisnęli się za ręce. Po chwili stąpanie ucichło, wiatr tylko coraz silniej ciągnął od owej rozbitej beczki. I znów zdala jakiś turkot, czy szum wody doszedł ich uszu.

— Bracie, ta beczka jakiś otwór snac zakrywa! szepnął Siewros.

— Ba, i ja tak myślę! rzekł z pewnym tryumfem Jaśko. I obadwaj rzucili się sobie w objęcia, jak gdyby ten słaby promyk nadziei dawał im już niechybne ocalenie.

— A teraz do roboty! zawołali razem, szukając po omacku owego otworu, z którego ich oddalone głosy dolatywały.

Beczka była tak wielka, iż mogłaby służyć za mieszkanie, chłopcy po ciemku, gdzie mogli wyrywali nadgnięte klepki. A gdy jakaś cuchnąca woda sączyła się z jednego otworu, drugim tymczasem dochodził powiew wiatru. Najwidoczniej była to kadz do piwa o dnie

podwójnem. W jednej więc połowie zostały resztki odwaru i te stojąc zbyt długo zepsuły się i zatęchły, a sącząc się wydawały ową woń zgnilizny, gdy tymczasem druga połowa kadzi była pustą i ta nakrywała jakiś otwór wgłęb ziemi idący. Chłopcy pracując i odrywając palcami i zębami klepki, oblani od stóp do głów cuchnącą spadającą na nich z wierzchu cieczą, zrobili taki wyłom, iż obaj się mogli weń zmieścić. Przewiew wiatru i ów szum oddalony coraz widoczniej czuć się dawał, lecz ciemność niepozwaliała nic do koła rozeznąć. Po omacku chłopcy kawałem jakiegoś znalezionej kija doszukali się, iż tam jest otwór, który ogromna kadź w zupełności zakrywała.

— Hej, nie nachylaj się, bo jeszcze wlecisz na łeb; mówił Jaśko, przytrzymując towarzysza.

— Ta i cóż, to tylko z jednej jamy w drugą wleżę, a może z tamtej łatwiej się wydostać — odrzekł Siewros, rzucając jedną ręką na chybił trafił w głąb otworu kawałek cegły czy kamienia, a drugą przytrzymując się zrębu kadzi. Po chwili odgłos upadającego kamienia się odezwał, a tak jakby się staczał po jakiej nierównej pochyłości, aż wreszcie plusk dał się słyszeć.

— Oh, oh! słyszysz! — zawołał Siewros, chwytając towarzysza za rękę.

— Słyszę, otwór jest, lecz gdzie prowadzi, jak się weń dostać? mówił rozważny Jaśko. Mimo to jednak zaczął drągiem szukać i po omacku mierzyć jak daleko od zrębu beczki do otworu. Tak szukając, doszli, iż był po środku otwór niewielki, który miasto drzwi przykryto wielką kadzią. Ziemi jednak ubitej między zrębem a otworem było tak dużo, że obaj więźnie stanąć na niej mogli bezpiecznie.

— Utrzymasz ty mnie i wyciągniesz, gdy nie będę mógł sięgnąć uogami gruntu, zapytał Siewros.

— Ba, i trzechbym takich wyciągnął, odrzekł Jaśko, a nie utrzymam, to i sam za tobą wskoczę. Jak ginąć, to już lepiej odrazu, niż gnić w tej krzyżackiej jamie!

— Ba, ale na czym się spuszczać? skąd rzemienia albo sznura? zamyślił się Siewros.

— Czekał, zawołał Jaśko; a ściągawszy z siebie zwierzchnie odzienie, zaczął je drzeć zębami na pasy i wkrótce obaj towarzysze zostali tylko w płócienną spodnią odzież, a za to z podartych kaftanów ukręcili dość długie sznury. Wiatr zimny ciągnący od wnętrza otworu coraz silniej dochodził, lecz zmęczeni towarzysze nie czuli tego: owszem, pot spływał im z czoła. Wkrótce Siewros trzymając sznur, spuszczał się w otwór, drugi koniec owego sznura trzymał Jaśko. Naraz sznur stał się lekkim, Jaśko uczył, iż źle skręcony powróć zerwał się i został mu w rękach, jednocześnie usłyszał staczanie się nieszczęśliwego Siewrosa;

— Więc i ja z nim ginąć muszę, zawołał Jaśko. Boże, uratuj nas obu!

I nie namyślając się długo, Jaśko, chcąc lepiej wgłęb skoczyć, uchwycił za zwieszające się na wpół odłamane wewnętrzne dno beczki. Pociągnięte ciężarem chłopca przegniłe drzewo, zerwało się z nim razem, głuchy odgłos rozległ się po sklepionych podziemiach, a nad otworem tylko co przez więźniów odkrytym, z porozbijanych klepek wielkiej kadzi, utworzył się stos ogromny drzewa, nad którym tu i tam sterczały w półkole żelazne, rdzą przegryzione obręcze.

#### IV

W jednej z komnat malborskiego zamku, we wgłębieniu okna, dwóch ludzi rozmawiało po cichu. W jednym, mimo iż okrywał go tylko kaftan skórzany, krótki, poznać było łatwo rycerza, drugim był Hex, znany nam już przełożony Wolfshöhle.

— Muszą być! rozumiesz? — rzekł rycerz, kładąc silną dłoń na ramieniu Hexa.

— Rycerzu von Altenburg, — odparł Hex uginając się pod żelazną dłoń, spoczywającą na jego ramieniu, wszystko uczynię, lecz gdzie ich szukać! Całe podziemie przetrząśnięto, nad otworem kupa klepek i desek, szmat strzępy, śnać te wściekle psy w kanał skoczyły!

— Jaks mógł ich zamykać w owym podziemiu, gdy tylko więzienie, nie śmierć im była przeznaczona! — syknął przez zęby Dietrich z Altenburga. — Ja ich mieć muszę, muszę! czy znasz to słowo?

— Znam, — powtórzył Hex ponuro — lecz miejcie miłosierdzie, innych wam przysposobię, sprawniejsi będą, aniżeli ten cienki Fryc i gruby Hans.

— Ja tamtych chcę, tamtych, a nie innych, właśnie tylko szlachetne charaktery dadzą się obietnicą uludzić, bo same do obłudy nie zdolne.

— Panie, to są psy wściekle, co kęsają człowieka. — I Hex podniósł dłoń ze świeżą, jeszcze niezagojoną raną.

Dietrich brwi zmarszczył.

— Pokąsały ciebie, Hexa, a nie człowieka — a kęsać będą każdego, kogo wskażę jako nieprzyjaciela ich plemienia.

— Idź, szukaj! — do jutra mieć muszę obu.

Hex ociągał się jeszcze, lecz Dietrich zawołał przyciśnionym, lecz stanowczym głosem.

— Precz!!

Echo głucho powtórzyło ten wyraz, który zda się towarzyszył przygnębionemu Hexowi przez całą długość wielkiej komnaty, a w przedsionku jeszcze się odbiło o sklepienie mury. Dopiero gdy wyszedł z zamku, odetchnął swobodniej, a potem zacisnąwszy pięść i zgrzytnąwszy zębami mruknął jakieś przekleństwo, a krocząc powoli do domostwa, potrącił wierną swoją Koboldę, która nie wiedzieć po co i dla czego przemykała się pod murem. A szła tak ukradkiem i milczkiem, jakby potajemnie kogo podsłuchać lub podpatrzeć chciała.

— Gdzie się włóczysz! — syknął Hex, zadowolony, że miał na kogo pierwszy gniew spędzić.

— Cicho! ty niedołęgo! — odmruknęła Kobolda. I położywszy palec na ustach, wskazała ręką, aby nie pytając, szedł do Wolfshöhle, sama zaś wcisnęła się jeszcze głębiej we wnętrze muru, łowiąc uchem rozmowę dwu stojących opodal ludzi.

— Mówią, że zniknęli zupełnie — rzekł szeptem młodzieniec smagły, ubrany w ciemną krótką odzież, na której miał przewieszoną gęśl przez ramię.

— Przecież muszą być jakieś ślady po zaginionych? — spytał starszy w ubraniu duchownym.

— Ach ojcie Germanie, kogo raz wepchną w podziemia, stamtąd go nikt nie wyciągnie.

— Tak, lecz opieka Najwyższego sięga tam, gdzie *nikt* dosięgnąć nie zdoła, — odpowiedział Ojciec German z powagą.

— Lecz kogo Krzyżak chce zgubić, nic go nie ochroni...

— Cicho — odrzekł gromiąc duchowny. — Nie bluźnij Bernardzie; niezbadane są wyroki Stwórcy. Może te pacholęta miały zdradzić swoich, może miały być narzędziem złego, zbrodni, lepiej, że w młodości zginęły... Czy śladów żadnych nie odkryto? — zapytał po chwili.

— Mówią, że z owego podziemia prowadzi jaki otwór w głębinę, że tam znaleziono potargane szmaty odzienia, strzępy włosów a nawet ślady krwi, zresztą nic, nic! Ach, ojcie, ja się boję, czy ten mściwy Hex nie uśmiercił ich — mówił Bernard ze drżeniem w głosie.

— Dzieciak jesteś — odparł ojciec German ze smutnym uśmiechem. — Hex raz powierzonych, chłopców strzeże jako oka swego, jako strzegł ciebie i wielu braci naszych, inna w tem jakowaś przyczyna. Gdy cię wyślą dziś za mury, staraj się dowiedzieć, czy gdzie jakich śladów niema. Możeby ukrytym kęs jadła lub otuchę zanieść. Smutna to sprawa, dziecię moje, a kiedy nas Bóg przeznaczył, by żyć między wrogami, starajmyż się przynajmniej braci cierpiącej w pomoc przychodzić.

— Ojcie, przykrzy się życie takie. Słuchać i słuchać, jak coraz to więcej pacholąt naszych przybywa! ach, jabył wszystkich rad jednej chwili wypuścić z tych murów, roz-targałbym je, rzuciłbym się...

— Bernardzie, uspokój się; synu mój. Ciało twoje wątłe a słabe, przed oczami noc wieczna, co możesz uczynić, biedne chłopię moje? Tu, razem we dwóch, możemy te pacholęta wprowadzać na drogę wiary, a uczyć ich, by nie zapomnieli o swoich. Ty, chłopcze, z innego, a ja z innego plemienia, ongi może plemiona nasze wiodły walkę ze sobą, lecz tutaj połączyła nas wspólna niedola i jedna myśl, że braciom naszym służyć będziemy.

— Ach, ojcie, gdyby raz jeszcze przejrzeć, gdyby przedrzeć tę ciemność, co wzrok mój zakrywa, i ujrzeć lasy nasze tam, tam daleko, jako Tubingas ciemny służyć świętemu dębowi.

— Cicho Bernardzie, przyjąłeś wiarę Świętą, a wracasz myślą do ofiar pogańskich.

— Ojczy, ten Bóg, któregoście czcić nas nauczyli, jest wielki, lecz on przecież nie każe zapomnieć tych, cośmy ukochali?

— Nie, owszem, Najwyższy każe ich miłować, a miłości największej dasz dowody, gdy oddalony od ziemi swojej nieść będziesz pomoc tym, co jak ty wyrwani w latach dziecięcych, zapomnieliby o swoich, gdybyś im pieśnią ich nie przypominał. Wasz Tubingas, składając objaty poświęconym dębom, wielbi Najwyższego, oddając mu cześć, podziwiając wielkość przyrody; jak on w ojczyźnie, tak ty służ braciom w niewoli; a pieśń niechaj w nich miłość ku tej ziemi rozbudza. Idź ślepcze młody, mów im o ziemi twojej, śpiewaj niezrozumiałą dla Niemców mowę; Niemiec jej nie rozumie, dźwięk mu się podoba, a częstokroć w piersi zamarłej twego rodaka rozbudzisz uczucie do rodzinnej ziemi.

— Tak, ślepcem a śpiewakom wszędzie dojść można — rzekł, westchnąwszy, Bernard — może też i *ich* odszukam.

— Idź. — I duchowny zakreślił znak krzyża świętego nad głową młodzieńca, spuścił potem rękę na jego ramię i dodał: — Idź, ja pospieszę do szkoły, by chłopiętom zanieść słowa wiary.

I ojciec German powoli kroczył do Wolfshöhle.

Nie wielki, naprzód pochylony, zdawał się być niemłodym, a jednak gdy podniósł wzrok pogodny, widział twarz nie latami, lecz cierpieniem znękaną.

Oddawna, oblokłszy suknię duchowną, u Krzyżaków przebywał, w zasadach wiary Świętej był biegły, a życiem wzbudzał poszanowanie we wszystkich. Niemiecką jako Krzyżak znał mowę, lecz umiał i inną, bo gdy z wyprawy wracano, prowadząc za sobą młode pacholęta, rozmawiał z nimi odrazu, a pacholęta garnęły się do niego, opowiadając mazurowską mowę o ojcu i matce. Pacholąt jednak z tamtej strony mniej do Wolfshöhle sprowadzano, więcej daleko było takich, co Perkuna a dęby czcili, a wiary Świętej nie znali, tych mowę Ojciec German lepiej jeszcze rozumiał, na jej dźwięk oczy mu błyszczały, chłopięta wypytywał, ba i w płaczu utulił.

Skąd był? a któż o to pytał. Krzyżacy go szanowali, czasem do wielkiego Mistrza był wołany. Dietrich von Altenburg, zastępujący Mistrza, często z nim rozprawy miewał. Snać był im potrzebny, bo ile razy młodzieniec jaki z przywiezionych z wojny, począł się buntować, słowa Ojca Germana zawsze go uspokoiły. Pod jego też wejrzeniem najbardziej rozgniewany Krzyżak przychodził do siebie, a psy szczekające i rzucające się zajadle na przechodniów, na głos jego milkły i łasząc się, przychodziły do jego kolan. Jedna tylko Kobolda, choć nisko zawsze przed Ojcem Germanem schylała głowę, w duszy niecierpiała go, gdyż nie pozwalając złośliwej niewieście źle się obchodzić z pacholętami, powierzonymi jej pieczy, nieraz surowo ją gromił.

To też na każdym kroku chciała mu szkodzić, a liżąc się i przymilając, śledziła go wszędy.

Zaledwie więc Ojciec German poszedł do Wolfshöhle, Kobolda wysunęła się ze swojej kryjówki. Zacisnęła pięść swą ogromną, syknęła coś przez zęby, a stanąwszy przy wejściu do zamku, postanowiła czekać wyjścia rycerza von Altenburg. I niedługo czekała, wkrótce Krzyżak wyszedł, poprawiając na sobie opończę, którą zwykle był odziany, gdy pozostawał wśród murów. Stał we drzwiach, mierzył wzrokiem z oddali owo Wolfshöhle, najdłużej zaś zatrzymał się na małym okienku w sklepieniu okrągłym nad ziemią, a prowadzącym od głównego budynku do muru, okalającego podwórzec zamkowy.

— Ha, bydlę! — syknął i targnąwszy niecierpiwie pas, otaczający jego postać okazała, chciał iść dalej, gdy Kobolda zabiegła mu drogę.

— Rycerzu von Altenburg, szlachetny panie!

— Precz! — krzyknął rycerz, zastawiając się ręką, jak gdyby chciał złe widmo z przed siebie odpędzić.

Lecz Kobolda nie łatwo się zrażała. Pozostała na chwilę za nim, a potem idąc cichutko, skradając się jak kot, znowu poczęła:

— Wiem już, kto wszystkiemu winien.

— Ty i twój mąż, nieczne potwory! — krzyknął von Altenburg, wznosząc swą dłoń potężną, a nie oglądając się na idącą tuż obok niego, dodał:

— Precz mi z oczu!

Kobolda pozostała na miejscu; nie dała jednak za wygraną. Cichutko podreptała do Wolfshöhle, gdzie wsunawszy się głównym wejściem, wkrótce ukazała się bocznymi drzwiami na podwórzu, a gdy von Altenburg opatrywał uważnie sklepienie i okienko, ona podkradłszy się kocim swoim chodem, szepnęła:

— Ojciec German, i ślepiec Bernard byli z nimi w zмовie; German polecił ślepcowi, by ich szukał po za murem.

Dietrich drgnął pomimowoli, nie zdawał się jednak zważać na szept Koboldy, która jak cicho podeszła, ciszej jeszcze usunęła się, a na jej ohydnej twarzy znać było rozradowanie i uśmiech piekielny. W tejże samej chwili z Wolfshöhle wyszedł Ojciec German, który spojrział na nią łagodnym wzrokiem, zatrzymując czas jakiś pogodnie swe oczy na jej rozradowanej twarzy. Chytra niewiasta nie mogła snąć wytrzymać tego spojrzenia, gdyż schyliwszy skronie, przycisnęła się do muru, jakby przez uszanowanie dla przechodzącego. German spojrzawszy raz jeszcze na nią, przysunął się do Dietricha i rzekł:

— Badałem innych, nic nie wiedzą, lecz wysłałem Bernarda po za mury, ten choć ślepiec, często lepiej dojrzy, aniżeli stu patrzących. Daleko ujść nie mogli, gdy ich znajdzie, zatrzyma za bramą, w ukryciu opodal od zamku, a stamtąd ja ich sprowadzę.

— Czy wam można ufać? — zapytał Dietrich przytłumionym głosem, wpatrując się w duchownego.

— Czym was kiedy zdradził? — odparł tenże, zatrzymując znów wzrok na Dietrichu, który tak samo jak Kobolda nie wytrzymał tego spojrzenia.

— Po raz ostatni wam ufam — rzekł, kładąc rękę na ramieniu Germana — ale gdybym się zawiódł, biada wam, biada tym wilczętom. I to mówiąc, wskazał ręką na Wolfshöhle.

— Bezpotrzebne pogrożki wasze, krew sobie ino psujecie — odparł poważnie German — a krew wasza powinna być spokojna, boć nową szykujecie wyprawę, nie warto jej na takie małe sprawy zażywać.

— To nie małe sprawy! — krzyknął, prostując się Krzyżak. Mnie oni obaj potrzebni byli, jam z nich pragnął mieć psy gończe z delikatnym węchem, co umiejętnie użyte, na jamę naprowadzić zdolne.

— Gdy się psa układa, to go się w podziemiach nie zamyka, bo węch stracić może.

W tej chwili Hex znów się ukazał.

— Rycerzu, panie! — rzeki, ukazując strzęp podartej, skręconej w sznur odzieży i kosmyk zakrwawionych jasnych włosów.

— To wszystko co odnaleźć zdołałem.

— Ja cię nie po strzepy posłałem — ofuknął Dietrich — ja chcę ich widzieć żywych!

Hex począł się jeszcze tłómaczyć, lecz Krzyżak nie słuchał jego wyrazów, świsnął tylko w świstawkę, którą miał zatknęty u pasa. Dwóch knechtów potężnej postaci stawilo się na zawołanie. Dietrich ręką wskazał na Hexa.

— Zaprowadzić go do podziemia, w prawem skrzydle.

Hex złożył ręce i padł na kolana, nic jednak nie pomogło. Knechty ujęli go pod ręce, a silne to było ujęcie, gdyż nie drgnął nawet, tylko szedł, kroki swe stosując do idących obok niego. Kobolda wyjrzawszy z za drzwi, zgrzytnęła tylko zębami, pięść zacisnęła, a schroniwszy się napowrót, gdy Hexa prowadzono do prawego skrzydła, ona stojąc we wgłębieniu muru, dawała mu jakieś znaki, na które skazany spoglądał szklanymi oczami.

## V

Podziemia krzyżackiego zamku łączyły się z kanałami, ciągnącymi się, aż ku samej Wiśle. Kanały te pochłaniały wszelkie odpadki uczt krzyżackich, pochłaniały też i resztki tych, których mściwa ręka rycerzy pozbawiała życia. Żeby jednak przez otwory zakratowane kanałów, znajdujących się w niektórych miejscach podwórca, nie psowało się powietrze, były znów przeprowadzone rury, któremi bezprzestannie napływała woda, sprowadzana z odnogi Wiślanej. Woda ta, idąc z góry, zabierała wszystko, spychając gwałtownie do rzeki.

To też gdy Siewros a za nim Jaśko, wskoczyli w owo podziemie, pochwyceni zostali tym pędem i niesieni niewiedzieć jak długo. Biedne chłopięta instynktownie, chcąc się ratować, robili ruchy rękami i nogami, co chroniło ich od zalania wodą. Pierwszy Siewros,



pędząc tak, zahaczył się o jakiś wyłom i uchwycił się ręką wystających kamieni. Siły go opuszczały, ręce drętwiały, zdawało mu się, że już ostatnia godzina nadeszła.

Wkrótce jednak otrząsnął się, ręką posunął coraz dalej w głąb wyłobienia... Woda tutaj słabo się dostawała, wyłobienie zagłębiało się w bok: wyciągnął się więc na nim i odpoczywał, chwytając w siebie wilgotne i cuchnące powietrze. Naraz usłyszał zsuwanie się przez kanał jakiegoś ciężaru, a około zwieszonych nóg uczył najwyraźniej dotknięcie ręki ludzkiej.

— Jaśko! — krzyknął Siewros zamierzającym już głosem i nie namyślając się, zsunął się ze swego wilgotnego łożyska.

Pchani tak dalej wodą, pędzili przez całą długość kanału, a jakim sposobem obadwaj znaleźli się wśród trzciny i szuwarów, rosnących na błotnistym wybrzeżu rzeki, i jak długo tam leżeli, zdać sobie z tego sprawy nie umieli. Gdy się ocknął Siewros, słyszał w dalszym ciągu szum wody, gwary dochodzące z oddalonego miasta, nie wiedział jednak gdzie jest, co się około niego dzieje. Olśniewała go tylko jasność promieni słonecznych, odurzał powiew od wody, pól i łąk, a tam w trzcinie głosy ptaków oznajmiały, iż jest jakoweś około niego życie. Chłopak przetarł oczy, otrząsnął się cały, gdy nagle jęk uszu jego doleciał. Resztkami sił podniósł się i oparł na łokciu. Opodał niego leżał Jaśko, cały obłocony i poraniony..., nad nimi niebo błękitne.

— Jaśko! — zawołał Siewros — Jaśko! — powtórzył raz jeszcze, chcąc się przekonać, czy żyje i czy rzeczywiście widzi to, co mu się przedstawia.

— Co? — zajęczał głos z pobliskiego sitowia.

Serce zakolało w piersi Siewrosa, podniósł głowę i nadstuchiwał jak zając, gdy chce się upewnić, z której strony niebezpieczeństwo zagraża. Lecz za każdym poruszeniem biedne pachole czuło ból w całym ciele; senność go ogarniała, nie dawał się jednak.

— Co? — powtórzył głos z sitowia — kto mnie woła?

Ocknął się na to zapytanie Siewros, a mimo bólu, na czworakach zaczął się w stronę, skąd go głos dochodził.

Jaśko obłocony, ociekły krwią, jęczał w sitowiu; ogołocony z odzienia, świecąc poranionem ciałem, leżał nawpół przymkniętymi powiekami, powtarzając uparcie:

— Co? co?...

Siewros położył rękę na jego głowie, wołając:

— Jaśko! to ja, otwórz oczy... jesteśmy oba pod gołym niebem... słońko świeci... ptacy wabią w sitowiu... Jak się to stało?

— Jak się to stało? — powtórzył Jaśko, odchylił powieki, spojrzał dokoła, lecz znać było z jego wzroku, że nie nierozumiał.

— Ba, gotów zamrzeć — zawołał Siewros, i obejrawszy się, postrzegł dopiero teraz, że i on był tak samo bez odzienia jak i Jaśko, że krew sączyła się z obnażonej jego piersi, a cały był obłocony.

— Tośmy się ustroiłi — rzekł półgłosem — brrr! jak mnie wszystko boli.

Woda tuż około szuwaru, z dnem czystym, zwirowem, będąca odłamkiem rzeki, zwróciła jego uwagę. Nie namyślając się, wszedł w ową nęcącą wodę, a chociaż go rany bolały, pluskał się w niej jak ryba i jakoś orzeźwiony wyszedł z tej kąpieli, a położywszy się między trzcina, wygrzewał się na słońcu. Po niejakim czasie raźniej mu się zrobiło, lecz głód dokuczać mu zaczął.

— Ba, żeby tak Jaśka w tę wodę, toby też ożył! we dwu raźniejby nam było. — Jaśku! Jaśku! — począł, trącając towarzysza, lecz chłopak poruszał tylko ustami, nic budząc się z półsnu, w jakim zostawał.

— No, to jak widzę, ja ciebie chyba, braciszku, poniosę!

— Ależ ciężki! — dodał po chwili, usiłując Jaśka podnieść z ziemi.

Siadł więc, plecami zwrócony do leżącego, ręce jego założył sobie na szyję i usiłował dopiero podnieść się wraz z towarzyszem. Lecz i to było napróżno; biedny Siewros resztek sił dobywał, wszystko nic nie pomagało, tem więcej, że krępy Jaśko nietylko mu niedopomagał, lecz owszem opadał całym ciężarem ku ziemi.

— Eh, czy ty myślisz braciszku, że ja ci pozwolę tak leżeć w błocie i głód cierpieć będę wraz z tobą? Oho, ja znajdę sposób i tak cię opluczę jak siebie.

A widząc, że wszelkie usiłowania poniesienia towarzysza do wody, były dotąd daremne, Siewros podniósł głowę Jaśka, oparł ją sobie na kolanach, potem, wzięwszy go pod

ramiona, ciągnął do rzeki. Odpocząwszy chwilę, wszedł do wody, a nabrawszy jej oburącz, oblewał twarz towarzysza, potem ostrożnie zsunął go w wodę, posadził przy brzegu, podtrzymał głowę na własnej piersi, lecz nagle stracił równowagę i obadwaj znaleźli się pod wodą.

Siewros w chwili niebezpieczeństwa nie opuścił jednak towarzysza, razem z nim chciał się wydobyć, i z radością uczuł, że Jaśko zaczyna ruszać rękami. Po chwili obadwaj płynąc obok siebie, wyszli na brzeg, a ujrawszy się ocalonymi, rzucili się sobie w objęcia. Woda orzeźwiła potłuczonego i pokaleczonego Jaśka, młodość przemogła: otrząsnął się, jak źrebiec, gdy przepłynął wodę, stanął na zielonej łące.

— Zkądżeś się ty wziął? — zapytał Jasiak.

— Albo ja wiem? a ty skąd? — odparł zapytany.

I rzeczywiście obaj nie wiedzieli jakim sposobem, wpadłszy w ciemny kanał, ujrzeni się naraz pod gołym niebem, i oto teraz mogą mówić i ruszać się. Czuli to doskonale, że żyją, bo głód im coraz więcej dokuczać zaczął, lecz odarci z odzienia, nie śmieli się ruszyć z pomiędzy trzciny. Wtem głosy jakieś zaczęły ich dochodzić, rozchylili szuwały, kobiety z przedmieścia szły prac bieliznę w rzece, rozprawiając między sobą wesoło.

Na widok zbliżających się, chłopcy schowali się w szuwały i przylegli do ziemi. Lecz Siewros, znużony ostatnim wysiłkiem, ledwie oddychał, a tylko przy pomocy Jaśka mógł popętać dalej.

— Aj, żeby nam tak szmat odzienia, szepnął Jaśko, patrząc na nagie, poranione swoje i towarzysza ciało.

Siewros otworzył tylko na wpół oczy i nic na to nie odrzekł.

— Eh! — jęknął po chwili Siewros.

— Cicho! — szepnął mu Jaśko — jeszcze nas ujrzą i wydadzą!

Szept jednak nic nie pomógł; Siewros od czasu do czasu wydawał głuche jęki, szarpał się i miotał leżąc wśród szuwaru, a ostre trawy raniły jeszcze więcej jego ciało. Jaśko dobywał reszty sił, aby towarzysza uspokoić, rwał wodne liście, brał błoto i okładał niem szarpającego się Siewrosa. Mimo to jednak jęki doszły do uszu piorących kobiet.

— Oj, a to co?! — zawołały z przestrachem, zbliżając się razem i czyniąc znak krzyża.

— To złe przeszkadza — szepnęła najmłodsza.

— Cicho! — przerwała jej najstarsza — jeżeli złe, nie przeszkadzaj, niech jęczy.

I zamieszała nogą wodę na krzyż, splunąłszy za siebie trzy razy.

W szuwarach jęknęło znowu, a trzcina zakołysała się jeszcze bardziej.

— Oh! oh! — zawołała milcząca dotąd dziewczka, a zakrywszy oczy, poczęła uciekać. Dwie drugie spojrzawszy w stronę, skąd dochodziły jęki, a ujrawszy, że z pomiędzy trzciny wyglądała niby głowa człowiecza obłożona i oblepiona liśćmi, i jakieś dłonie, usiłujące trzcinę pochwycić, gdy coraz więcej dochodzić ich zaczęło szamotanie i jęki, uciekały za pierwszą, wołając:

— Thor! Teufel! — lub:

— Ach, Gott!

I było się czego przestraszyć. Siewros miotając się w dziwnej gorączce podnosił się, rozgarniał szuwały, usiłował pędzić przed siebie, Jaśko, chcąc go powstrzymać, szamotał się z uciekającym.

Nareszcie wszystko ucichło. Nikt nie śmiał się zbliżyć do owych szuwarów, kobiety rozniosły wieść o złem, przeszkadzającym nad odnogą rzeki, żal im było porzuconej bielizny, nie śmiały jednak wrócić.

O zmierzchu po nad tą samą rzeką przechodził ślepiec Bernard, cichym głosem śpiewając; wiatr roznosił pieśń pobożną, wreszcie pieśń ta umilkła. Zadzźwięczały inne jakieś tony na wpół dziko, smutno brzęczały struny przewieszzonej gęśli, wtórował im głos tęskny, przypominający szum lasu... Obce wyrazy niemieckiej mowy rozlegały się dokoła. Od czasu do czasu dolatywało:

— *Motina lankta tawe! Motina lankta tawe!!*<sup>7</sup>

W trzcinie zaszeleścilo. Siewros nawpół senny, przeciągłym głosem powtórzył: *Motina lankta tawe!* Głos słaby zginął wśród szuwaru nad wodą. Delikatne ucho Bernarda

<sup>7</sup>*Motina lankta tawe* — Matka czeka cię. [przypis autorski]

zdawało się chwytać ostatnie wyrazy swej pieśni, stanął, wyciągnął szyję, rękę oderwał od gęśli, wyprostował ją przed siebie, jakby chciał ułoić ów powtórzony wyraz.

— Ach, to echo tylko mi wtórzy — szepnął po chwili. — Echo przynosi mi pieśń, którą tam, tam gdzieś daleko śpiewają!

Westchnął raz jeszcze:

— Ach, gdyby choć tych chłopców znaleźć. Ha, może uciec zdołali!

W szuwarach jęknęło znowu i szmer wyraźniejszy dochodził. Ściemniło się już prawie zupełnie, a dla ślepcy Bernarda noc też była wieczna.

— Może oni się tu gdzie kryją, może to ich jęki?...

I począł znów pieśń pobożną, znaną w murach krzyżackiego zamku, jakby nią dawał znaki; głos jego przecież znać musieli. Lecz pieśń ucichła, w szuwarach nie słychać było jęku, wszystko zdawało się układać do nocnego spoczynku.

— Oni, czy ktokolwiek, zawsze tam jakieś głosy ludzkie, te jęki zawsze coś znaczą, może kto potrzebuje pomocy...

I ślepiec, wyjąwszy z pod opończy chleb i glinianą bańkę, poszukał miejsca nad rzeką, a znalazłszy wilgotne skręcone szmaty, położył przy nich przyniesione zapasy, mówiąc:

— Tak, tak, tutaj śnać jest człek jakiś potrzebujący pomocy, niechajże chleb i napój pokrzepi jego siły!

Rękę wyciągnął przed siebie, wężchem wciągał powietrze, rozpoznając tym sposobem drogę i milcząc posuwał się dalej... A gwiazdy migotały na ciemnym niebios błękicie, jedne mrugały i kryły się, inne złotawym blaskiem rzucały światło na srebrną wstęgę Wisły, przedzierając mgłę gęstą, wznoszącą się nad rzeką. Wreszcie gwiazdy zagasły, mgła okryła płaszczem białym nisko, niziutko łąki i pola.

Wśród tej mgły gęstej, czernieją dwie ludzkie postacie, idące chwiejnym krokiem.

To Siewros, wspierający się na Jaśku. Silna natura chłopięcia, świeżość nocy, a może dźwięk ojczyściej zasłyszanej pieśni, otrząsły go ze strasznej niemocy i trapiących widziadeł. Z wyrazami pieśni: *Motina lankta tawe*, sen skleił mu powieki.

Świegotanie ptactwa, które po północy z pierwszym brzaskiem budzić się zaczęło, rozbudziło i Siewrosa. Przetarł oczy i starał się przywołać rozpierzchnięte myśli. Chrapanie śpiącego obok Jaśka, przypomniało mu towarzysza. Pociągnął go i zbudził.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Siewros.

— Uciekajmy! — rzekł Jaśko. — Uciekajmy póki noc; jesteśmy bez odzienia.

— Tak, nadzy, głodni i bezsilni — odezwał się Siewros — jednak uciekać trzeba.

I zerwał się chłopak, a chociaż chwiał się cały jak trzcina obok rosnąca, starał się jednak utrzymać na nogach.

Podparł go rozbudzony Jaśko.

— Uciekajmy, uciekać musimy — powtórzył Siewros.

— Wpław przez rzekę.

I rzucili się oba do wody. Los opatrzny zaprowadził ich w miejsce, gdzie niewiasty porzuciły szmaty, a litosna ręka Bernarda położyła chleb i napój. Odziani i pokrzepieni szli dalej pod osłoną mgły gęstej porannej.

— Aby jak najdalej od krzyżackiej ziemi! — mówił Siewros.

— Aby jak najdalej! — powtarzał Jaśko. — Gdybyśmy się dostali do moich.

— Albo do moich! — wzdychał Siewros.

I szli dalej.

## VI

Jak sięgnąć okiem wzdłuż środkowego Niemna, wszędzie znać straszne zniszczenie. Zameczki obronne w gruzach leżą, a gdzie ciągnęły się uprawne i bogate sioła, widnieją tylko zgliszcza, a rumowiska. Zdeptane pola, walające się strzępy odzienia, złamana żelazna zbroica, lub tarcza trzciniowa, ciężki miecz w zaciśniętej jeszcze dłoni świeżego a na poły przez zwierza ogryzionego trupa, odcięta noga lub ręka, ba nawet i głowa patrząca przewróconymi białkiem oczyma, dymiące niedogasłe ognisko, dym ciężki przesuwający się po nad tem zniszczeniem i woń zgnilizny, napełniająca powietrze, wszystko mówiło o niedawno stoczonej bitwie. Połamane zbroice, strzępy płaszczów białych z godłem Krzyża, świadczyły o napadzie Krzyżaków. Nie przebaczyli oni nikomu i niczemu, co znaleźli

na drodze. Zwycięzcy czy pokonani, zostawili ślady swego przejścia. A chociaż jeńców uwozili i zdobycz brali, swoich też nie mało zostawiali na pobojuwisku, ba i żywcem, ran- nego lub związanego, dostawało się niemało krzyżackiego żołdactwa w ręce litewskiego ludu.

We wgłębieniu więc lasu, opodal od owego straszego pobojuwiska, na świętem śnąc miejscu leżało czterech związanych ludzi. Jeden silny i barczysty pocięty był i poraniony, głowa zwisała ku ziemi, usta krwią ociekłe od czasu do czasu rzucały przekleństwa, dwu zaś młodych chłopaków leżało z nawpół otwartymi oczyma, a zda się, że i w nich nie wiele już było życia. Jeden odwrócił się twarzą do ziemi, jak gdyby nie chciał patrzeć na słońce, które miało zapewne wkrótce dla niego zagasnąć. Westchnienie tylko przeciągłe podobne do jęku, oznajmiało w nim jeszcze resztkę życia. Drugi ze związanymi w tył dłońmi oparty, czy przywiązany do drzewa spoglądał zamglonym okiem dokoła, czasami kurczowo zadrgały mu usta jakby chciał przemówić, a słowa ni tchu nie stało. Tuż obok niego starszy wiekiem młodzian z długimi włosami, z oczami w jeden punkt wlepionymi, związany, leżał na pół oparty o zwałoną kłodę drzewa. Twarz wycieńczona, łagodna, oczy zamknięte, nie wyrażały bólu ni trwogi, usta poruszały się powoli, nie wydając głosu. O kilkaset kroków od nich, stał dąb, a raczej pień wielkiego dębu, do którego wchodziło się po kamieniach jakoby po schodach, a nad nim pokrzywione w rozmaite strony gałęzie wyrastały ku górze w wielką koronę... Dąb ten i polana są nam już znane, jak i Tubingas, kroczący z tą samą co i przed laty powagą, a obok niego Chroniwos z przewiazaną skronią, z ręką prawą trzymaną na pasie skórzanym, a owiazaną lnianą szmatą od ramienia aż do dłoni. Za nimi ludzie z wejrzeniem dzikiem, każdy z toporem, i zgrają wybladłych z wejrzeniem wystraszonem kobiet i dzieci. Wszyscy szli tak, jak wtedy, gdyśmy ich widzieli kroczących na powitanie pierwszego dnia wiosny. Ino oczy ich spoglądają teraz złowrogo, nie mając tego, co ongi spokoju: na wielu ślady jeszcze przebytej walki, z niektórych piersi dziki okrzyk się odzywa... Tubingas stanął na kamiennych schodach wiodących do pnia świętego dębu.

— Ugni Perkun!<sup>8</sup> zawołał.

— Ugni! powtórzono.

Chroniwos zgrzytnął zębami, oczy mu zabłyśły, głośniejszy nad innych powtórzył:

— Ugni! Ugni! chciałby niemal biedź, lecz rany, ba i powaga kapłańskiego syna przytrzymała go na miejscu... Na znak dany przez Tubingasa dziesięciu ludzi rzuciło się ku oczekującym śmierci jeńcom. Zemsta napadanych i zniszczonych przez krzyżackie zastępy Litwinów, chciała się nasycić kilkoma pozostałymi w ich rękach ofiarami. Przywleczono ich do stosu. Tubingas rzucił kamieniem, padł on na najstarszego jeńca. Stary Krzyżak głowę podniósł do góry, przekleństwo rzucił niezrozumiałe dla obecnych, oczy jego zaświeciły chytrym złowrogim blaskiem.

— Żywym na stos mnie nie zawleczenie! wrzasnął swoją mową, szarpnął się jakąś nadludzką siłą, rzucił się i roztrzaskał głowę o wielki stojący śpiczasto kamień. Mózg wyleciał z tej silnej głowy i obryzgał szarą krwawą masą stojących przy nim. Z piersi ofiarników wyrwał się krzyk przeciągły, jeńcy nawet okrzykiem i drżeniem przyjęli tę śmierć chroniącą go przed powolnym na stosie konaniem, a długowłosej z zamkniętymi oczyma jeniec zawołał:

— Panie okaż miłosierdzie nad nim i nad nami!

— Przekleństwa zionie ten! jego na stos! — wrzasnął któryś ze stojących bliżej i chciał się rzucić na modlącego się niezrozumiałą dla nich a wrogą niemiecką mową. Tubingas usłyszawszy zamieszanie wyciągnął dłoń żyłastą, zadał w róg wiszący u pasa i nakazał spokój. Cicha zaległa wśród ludu, echo powtórzyło dziki odgłos rogu, a wydającego doraźny wyrok śmiałka na bok usunięto. Święto to było zbyt wielkie, ażeby ktośkolwiek z tłumy ośmielił się mieszać jego uroczystość. Rzadko się zdarzało Litwinom pochwycić krzyżackich jeńców, bogowie domagali się śnąc ludzkiej krwi na objatę, bo ciężkie plagi spadały na lud ten cały. Krew przelana pod świętym dębem, lub żywcem spalonych jeńców trzeba było poświęcić na ołtarzu dla przebłagania ich gniewu. W każdej więc okolicy po walce, gdy jeszcze dymało pobojuwisko, palono wziętych do niewoli. Uroczystość to była, wśród której z dziką radością i w skupieniu a ciszy gotowano się do ujrzenia dymu krwi objat-

<sup>8</sup>Ugni Perkun — Ognia Perkunowi. [przypis autorski]

nej, lecz krew tę trzeba było przelać na ołtarzu, z ciekawością więc spoglądano co będzie teraz, gdy jeniec pozbawił się życia.

— Czemu nie nie niesiecie, stos gore... wołał Tubingas.

— Zabił się!

— Zabił się! powtórzono do koła.

— Łeb sobie rostrzaskał! wołano.

Tabiugas zgrzytnął zębami.

— Za koło święte z tem ścierwem! wrzasnął Tubingas.

Szczątki nieszczęśliwego jeńca wkrótce uprzątnięto.

— Gdzie inni? brać ich!

Na rozkaz w mgnieniu oka pochwycono bladego smągłego młodzieńca, który górując wzrostem nad dwu pozostałymi, patrzył spokojnie błękitnymi oczami na otaczających, tylko jakieś drganie ust objawiało wzruszenie. Usta drgały lecz nie wydały głosu. Pochwycono nieszczęśliwego i związanego położyli na stosie... ogień od spodu obejmował drzewo, wężykowemi płomyki przydzierał się przez drobne chrusty, liżąc wielkie kłody drzewa i osmalając je, aby potem zajaśnieć wielkim płomieniem. Cisza była dokoła, objata miała być spełniona, uroczystość jej powstrzymywała od dzikich okrzyków. Tubingas tylko wołał:

— Perkun Ugni! Ugni! Ugni! i podniósł rękę z toporem, aby leżącego ugodzić.

— Siewros, *mano Wajks*<sup>9</sup> dał się słyszeć głos z góry z rozrastających się w wysokie konary nad świętym pniem gałęzi. I ze zwinnością pantery rzuciła się jakaś postać, a odtrąciwszy mający spaść topór, ciałem swoim przykryła leżącego na stosie. Postać to była dziwna, podobna do kobiety, lecz strasznie oszpecona. Włos długi, spływający w nieładzie, okrywał na wpół obnażone ciało, zamiast odzienia były tylko strzępy skóry powiązane ze sobą łykiem, miejscami przetkane zielonemi liśćmi. Plamy błota, rany na całym ciele, ręce i nogi opatrzone długimi, jak u zwierzęcia paznogciami, oczy patrzące dzikim wyrazem z pod rozczochranych spadających na wychudzoną twarz kościstą włosów, czyniły tę postać wstrętą, niepodobną prawie do człowieka. A jednak na głos jej Tubingas zatrzymał rękę; w niemem jakimś oczekiwaniu stał nad stosem, a ogień coraz więcej obejmując podkłady drzewa huczał i rzucał czerwono-błękitne płomienie.

— *Siewros, mano Wajks!* krzyczała dziko kobieta, a uchwyciwszy leżącego młodzieńca, z tą samą zręcznością, z jaką na stos wskoczyła, zbiegła po palących się belkach, niosąc związane chłopię na rękach tak, jak się niesie dziecię maleńkie. Lud ze czcią rozstępował się idącej, sam Tubingas z wzniesioną dłonią odwrócił się za nią, jakby zagasłymi oczami chciał przypatrzeć się temu dziwnemu zjawisku. Ona tymczasem złożyła zdobycz swoją na trawie, a śmiejąc się i płacząc rozwiązywała krępujące ją węzły, całując poranione ciało wydartej kapłanom ofiary. Nikt nie śmiał się ruszyć z miejsca, wszyscy patrzyli z podziwem. Ci co byli dalej a nie widzieli co się stało, słysząc tylko dzikie okrzyki i zamieszanie powtarzali z pewnem poszanowaniem i grozą.

— Szalona! Dowrusa, szalona!

— Idź, zobacz! zawołał Tubingas, trącając obok stojącego Chroniwosa.

Na znak dany przez sprawiającego objatę, Chroniwos nie śmiejący się dotąd ruszyć, z młodzieńczą żywością pobiegł do skaczącej nad oniemiałym ze zdziwienia i przestachu Siewrosem. Dowrusa, ujrawszy zbliżającego się Chroniwosa, poczęła na nowo objawiać swoją radość, powtarzając:

— Siewros Wajks! dając znaki przybyłemu, aby się wraz z nią młodzieńcowi przypatrywał. Przy tem głaśkała leżącego po twarzy, przytulała jego głowę, podnoić twarz ku sobie, a wpatrując się w zdziwione oczy młodzieńcu, dotykała rąk jego, a nawet liżała jego rany, chcąc mu okazać swą czułość.

Chroniwos z pewnem poszanowaniem i przesądnym strachem spoglądał na obląkaną, u ludów bowiem pierwotnych pozbawieni zmysłów otaczani byli czcią szczególniejszą. Na ich skinienie nawet kapłani byli posłuszni, sam Tubingas nie śmiał odtrącić obląkanej i odebrać ofiary, uważając działanie jej za zrządzenie bogów — wyższych duchów, które według ich mniemania w obląkanych wstępowały. Więc i Chroniwos nie śmiał

<sup>9</sup>*mano Wajks* — mój syn. [przypis autorski]



dotknąć ofiary trzymanej przez obląkaną, dopiero na jej skinienie, pochylił się nad leżącym i krzyknawszy Siewros! objął młodzieńca lewą zdrową ręką.

— Siewros! powtórzył młodzieniec, Siewros! rzekł, oddając uściski obląkanej swej rodzicielce i Chroniwosowi, wymawiając przy tem wyrazy, na dźwięk których Chroniwos odskoczył.

— Tyś Niemiec! syn mój Niemiec! wołał drąc sobie włosy.

Siewros o ile mógł okazywał czułość, silił się żeby wyraz jaki przypomnieć sobie, całował ziemię, przyciskał ręce matki do piersi, nie lękając się jej długich paznogei, dawał wszelkie znaki radości, nie mogąc się porozumieć z tymi, którzy okazywali mu uczucie, a w których przeczuwał rodziców, nie rozumiejąc ich mowy. Wreszcie przypomniał sobie wyraz słyszany jakby echem, podobny do tych, które oni wymawiali, i zawołał:

— Motina! (Matka!)

— Motina tawe! Motina! krzyczała Dowrusa, ściskając młodzieńca. Wzrok jej błędny zaczął nabierać łagodniejszego wyrazu, na blade wynędzniałe policzki spłynęły lzy rzęsiste, zwilżając trzymaną rękę syna.

— Bogi mi go oddały! Bogi mi go oddały! Chroniwos, patrz, to nasz syn, to Siewros, ten znak na lewym ramieniu! wszak sameś mu ten znak wypalił<sup>10</sup> mówiła kobieta coraz przytomniej.

— Tak, i jam go poznał po tym znaku, rzekł ponuro Chroniwos, tak to Siewros, to on, lecz czyż on nam synem? niemiecką ma mowę. Przekleństwo tym, którzy mu ją w usta włożyli, przekleństwo im wszystkim, wrogom naszym, naszego plemienia! Syn nas zrozumieć nie może! I darł włosy z rozpacz. Wtem Tubingas szedł z wyciągniętą dłonią przed siebie, tłum otaczający Dowrusę rozstąpił się na widok starca, którego szanowano jako kapłana.

— Zrozumie — zawołał starzec, — gdyż jako wilczę chowane do jamy powraca, tak i on gdy go szum naszych lasów, dym naszych ognisk owieje, powróci i stanie jako krew z krwi a kość z kości naszej. Bogi nam wróciły! nie chciały krwi jego! I szorstką dłonią dotykał głowy wnuka, a dłoń ta co z taką siłą garść zarzewia brała, stała się lekką jako dłoń wlewająca uczucie miłości dla swego plemienia.

— Ofiar nam już tej nocy sprawiać nie należy, śnać bogowie ich dziś nie pragną, a i wkrąg złoty ogień na niebie posyła już swoje smugi to już krwi na ołtarzu święcić nie można: mówił starzec powłóczęc zagasłymi oczami, wskazując na krąg nieba od wschodu, kędy różowa jutrzeńka posłała już pierwsze brzaski. Ślepy starzec przeczuł ją, chociaż nie widział.

Na znak przez Tubingasa dany, wszyscy zaczęli się rozchodzić. Dowrusa, nieodstupując syna tuliła go, prowadząc obok dziada i męża, wraz z całą skupiającą się około nich drużyną. Nagle Siewros drgnął, jak gdyby sobie coś przypomniał. Gwałtownym ruchem chciał się wyrwać z pomiędzy otaczających, wskazując w stronę jeńców, których pod strażą pozostawić miano na świętej polanie. Na ten ruch Chroniwos rzucił znowu przekleństwo. Tubingas zmarszczył brwi siwe, pytając, co ono znaczy.

— Wyrzywa się do swoich, do tych... och, on nie nasz! ryczał z bólu nieszczęsny ojciec.

— Nasz, nasz! mój! krzyczała Dowrusa, przytrzymując syna, jak gdyby go chciała bronić przed gniewem ojca.

Siewros zaś dawał znaki błagalne, wskazując na jeńców i darł się ku nim.

— Jeńców dać tutaj, krzyknął Tubingas, posłuchajmy co chce z nimi zrobić.

Na głos ten przywleczono dwóch nieszczęśliwych. Siewros rzucał się od nóg Tubingasa do Chroniwosa, dając znaki błagalne i wskazując na jeńców.

— I któż zrozumie jego mowę, ci tylko, ci! wołał rozpaczliwie Chroniwos. Ach, on nie nasz!

— Wasz, zawołał litewską mową jeden z jeńców, a był nim ślepiec Bernard, wasz jako i wielu co choć krzyżacką mową mówią mową, litewskie w piersi mają serce!

— I on nasz? zawołał Tubingas.

<sup>10</sup>to nasz syn, to Siewros, ten znak na lewym ramieniu! wszak sameś mu ten znak wypalił — było zwyczajem w owym czasie dzieciom robić znaki na ciele, ażeby wśród ciągłych zapasów z wrogami mogły być poznane przez rodziców wykupujących ich z niewoli. Znaki takie robiono najczęściej pierworodnym lub ukochanym synom. [przypis autorski]

— I jam wasz! choć dawno w niewoli krzyżackiej. Wydarło mi oczy, lecz z piersi uczucia wyrzucić nie zdołano, ono wracało zawsze do Tubingasowego ogniska.

— Tyś ślepcem, tyś ślepcem! a znać i z mego pokolenia! wrogi ci wydarli oczy, jako i mnie, teraz mogę już spokojnie odejść, gdy bogowie wezwą mnie do siebie, ty ślepiec ślepca przed świętym dębem a ogniem zastąpisz. I położył dłoń na głowie leżącego u stóp jego jeńca, rozkazując rozciąć więzy.

— Tyś ślepiec, tyś mój następca! wołał starzec. Chroniwos do boju, ty bogom służyć będziesz!

Bernard schylił głowę nie odpowiadając nic na mowę Tubingasa. Zabierano się znów do dalszego pochodu, nie troszcząc się o pozostałego związanego jeńca, który też zresztą zdał się nie wiele troszczyć o to, co się wokoło niego dzieje. Z oczami zamkniętymi leżał nieruchomie, nie wiedząc i nie słysząc nic co dokoła niego mówiono. Siewros jednak postąpić dalej nie chciał, do Bernarda przemawiał, a ten był tłumaczem pamiętając ojców mowę.

— Jeżeli my znaleźliśmy ziemię naszą, ojców naszych, wołał ślepiec, przez miłość dla tej ziemi i dla nas, uwolnijcie trzeciego. Szmer jakiś niezadowolenia powstał pomiędzy ludem. Lud chciał objaty bogom, a jakkolwiek podzielał radość z odzyskanych synów Tubingasowej rodziny, pragnął obiecanej uroczystości, a z czterech krzyżackich jeńców wybranych na objatę ten jeden już tylko pozostał. Bernard jednak nie zważał na wznoszące się szmery, wołając:

— Przez miłość dla ziemi, przez miłość dla nas, dajcie wolność tamtemu. On razem z Siewrosem niewolę podzielał, razem z nim uciekł.

— On nie Niemiec, nie Krzyżak? pytał Tubingas.

— Nie, on jako i my niewolnik!

— Ale nie nasz? zapytał Chroniwos.

— Nie, on z innego lecz również nieszczęśliwego najeżdżanego przez Krzyżaków ludu, on od tych, co na południo-zachód od naszych lasów, tam po nad jeziorami a Wisłą mieszkają, on jest od Mazurów.

— To tam, kędy jasne pola a złote zboże, kędy wsie a miasta w broń i lud zasobne, mówił Chroniwos z pewną chciwością. Nie, ale on nie nasz! mamy ich dosyć! Nie!... Nie!

— On był z twoim synem w niewoli, razem z nim uciekł! wołał Bernard, a Siewros włączył się od nóg dziada do ojca niemą zanosząc prośbę. Tubingas wreszcie podniósł dłoń, a spuszczać ją na ramię Chroniwosa zawołał.

— Nie godzi się zabijać druha naszych synów, on z owego plemienia skąd łupy pewne, — bogaty można okup pozyskać, ba i tam podobno od Gedyminowego grodu nowa gotuje się wyprawa, — jeżeli zna ziemię?...

— On był w niewoli, on nie zna ziemi swoich ojców! mruknął niechętnie Chroniwos!

— Ale zna ojców swych mowę, może wam być przydatny, gdy się gotujecie na nich! rzekł Bernard, chwytając sposobność do ocalenia współtowarzysza niedoli.

Chroniwos mruknął coś niezrozumiale, Tubingas kazał więzy rozciąć ostatniego jeńca, Siewros rzucił się w jego objęcia wołając:

— Jaśko, myśmy u moich, bywaj z nami! Tubingas dla uspokojenia ludu kazał okrzyknąć na jutro ucztę z tłustego wołu i baranów, których krew miała być na ołtarzu dla bogów przelaną. I cała drużyna pociągnęła do Tubingasowego zamczyska. Stary Kunigas, cieszył się z powrotu wnuka i krewniaka, Chroniwos oprócz syna odzyskiwał jeszcze żonę, która od porwania Siewrosa straciła zmysły i jako zwier dziki kryła się po lasach, a teraz wraz z synem wracała. Lud radząc o przerwanej ofierze i jutrzejszej uczcie, pociągnął do chat nawpół rozwalonych, lub leżał wśród lasu, a słońko wschodzące zakreśliwszy złoty krąg na niebie, rzuciło jasne promienie, kryjąc mgłą ranną straszny obraz nie uprzątnionego jeszcze świeżego pobojożywa.

## VII

Do wielkiej sali na malborskim zamku wszedł Krzyżak niższej godności i ze czcią należną spojrzął na dwóch poważnych wiekiem rycerzy. W jednym poznajemy rycerza Dietricha, marszałka Zakonu, drugi wyższy od niego godnością, ba i wzrostem, był sam mistrz krzy-

żacki Zygfyrd von Furchtwangen. Stuknięciem młotka wiszącego przy drzwiach przybyły oznajmił się siedzącym.

— Zbliż się i powiadaj, — rzekł mistrz Zygfyrd wyniośle.

— Już po dwakroć pragnę Waszej wysokości oznajmić wieść ważną, jaką przyniosła Kobolda, żona Hexa z Wolfshöhle.

— Mów, a niezaprzataj czasu!

— Wróciła wczoraj jeszcze z południa, domagając się, aby Waszej wysokości oznajmić, że owych dwóch chłopców zaginionych znalazła.

— Gdzie są? porwał się rycerz Dietrich von Altenburg. —

— Biedna niewiasta, chcąc jak najprędzej wyswobodzić z jamy Hexa błąkała się dniem, i nocą, aby na jakiś ślad zaginionych natrafić, szła więc ciągle brzegiem Wisły, będą pewną, że jeżeli młode wilczęta jeszcze żyją, to je znajdzie w jakim legowisku...

— Nie rozwekaj opowiadania, a mów gdzie są! ozwał się niecierpliwie Dietrich, który oparłszy się na stojącym przed nim stole, chciwie chwytając każdy wyraz, kiedy tymczasem Wielki mistrz, rozparłszy się na ławie, zdawał się nawpół drzemiąc słuchać opowiadania. Na uczynioną przerwę przez Dietricha skinął tylko ręką, jakby tym ruchem mówił.

— Daj mu pokój, niech się wygada!

— Ja nic nie rozwekam, a tylko mówię, co się stało, a wszystko trzeba orzec jak najdokładniej, żeby Ich wysokości wiedzieli, jakie to chytne te wilczęta, co raczejby li-sami zwać je można: ciągnął dalej, przestępując z nogi na nogę, opowiadający. Gdyby nie chytrzejsza jeszcze od nich Hexowa niewiasta, byłiby z pewnością się wymknęli aż na dno swojej jamy, a stamtąd nie tak łatwo byłoby ich wydostać!... Dietrich uczynił znów pewien ruch niecierpliwym, lecz Zygfyrd spojrzawszy nań tylko, a krewki rycerz jeszcze więcej łokcie na stół założył, a podparłszy się na nich słuchał już cierpliwie opowieści.

— Otóż szła ona brzegiem Wisły, najpierw tą stroną, co prowadzi od kanałów mal-borskiego zamku, a potem skręciła nad łachą rzeki, a że tam moc trzciny porosła, węszyła więc jak wyżeł, czy gdzie jakiego śladu nie wytropi. Nieraz nawet wchodziła w wodę i dotarłszy do trzciny szukała w niej legowiska drogich wilcząt: ale gdzie tam, nigdzie nic nie było. Aż jakoś na trzeci czy czwarty dzień spotkała kobiety, które skradając się nieśmiało szły również nad brzegiem, a oglądały się dokoła, jakby je co straszycy; Kobolda też zaraz pomyślała sobie, że to może one skryły wilczęta, kiedy się tak czegoś strachają. Zbliżyła się więc do nich, lecz owe niewiasty zobaczywszy ją, poczęły uciekać, krzyż święty czynić, płuć za siebie i garście rozmiętego błota z trawą rzucać. Wtedy ona poczęła wołać, że i ona też krzyż święty wyznaje, złęgo im nie życzy, a w imię Boga wzywa, aby jej dały pomoc, bo jest strasznie strapioną i zabłąkaną podróżną. Na jej wołanie najśmielsza z uciekających zatrzymała się, a wtedy Kobolda jęła płakać i narzekać jako jest z wioski oddalonej, a oto dwóch jej chwackich synaczków gdzieś się podziało. Śladu po nich nie znaleźć, a ona strapiona matka, już błąka się, nawet nie wiedzieć dni ile, aby choć ślad, choćby strzęp odzienia znaleźć po swoich najdroższych. Nie gdzieindziej, tylko ku rzece musiał je zły człek lub zwierz uprowadzić, boć na rozmiętej ziemi spostrzegła stopeczki ich ukochane, ba nawet ślady krwi dojrzała. Niewiasty widząc, że najśmielszej nic się nie stało, zbliżyły się, a wzdychając wysłuchały opowiadania Koboldy. Aż nareszcie jako wszystkie słuchały, wszystkie też naraz i mówić poczęły, a przypominać sobie owo chrapanie.

— Oh! oh! toć w trzcinie szumiało, a krzyki były!

— Gdzie? w której? spytała je zaraz Kobolda, a niewiasty opowiadały, jako druga już doba upływa, gdy chusty prały z rzeki, wtedy w trzcinie dziwnie coś szumiało, a takie głosy się odzywały, jakby zle ucztę sobie wyprawiało. Że zaś mrok zapadał więc się też bardzo przestraszyły, chusty zostawiły nad rzeką i same uciekły, a teraz przyszły zobaczyć czy się chusty nie znalazły. Lecz śnać zle porwało je sobie na obwijki, bo przecie żaden człowiek nie wziąłby chust zmoczonych cudzych, boć to mór zaraz przynosi.

— To pewnie moje synaczki zle gdzie udusiło, albo je na swoją stronę chciało przedzierzgnąć: oni byli jakoby anieli, wołała Kobolda. Dowiedziawszy się w której trzcinie straszycy, weszła do wody i częścią idąc, a częścią płynąc, i dotarła do rosnących szuwarów. Tam znalazła trzcinę i trawę wygniecioną tak, jakby w niej dwa ciała leżały a i dopatrzyła się ludzkich śladów. Trzcina była otoczona wodą, a nie mogli się stamtąd inaczej, jak

dopłynąwszy brzegu, wydostać. Powróciła więc do czekających i biadających nad jej rzekomem nieszczęściem niewiast, które jej pokazały miejsce, gdzie leżała bielizna. Opodal od rzeki znać było ślady zaschłe stóp ludzkich w obuwiu, te wkrótce ginęły, skręcając ku malborskim murom, a natomiast brzegiem rzeki znać było obok siebie ślady dwóch par nóg bosych.

Kobolda ujrawszy je, już dalej nie czekała, tylko zostawiwszy zdziwione i żałujące ją niewiasty za owym szła śladem, aż nareszcie dotarła w gęstwie i krzaki. Było to już w samo południe, słońce przypiekało silnie, lecz Kobolda na nic nie zważała, ale jak poprzednio w trzcinie, tak teraz w gęstej trawie i zaroślach szukać zaczęła. I oto zdala doszło ją jakieś chrapanie. Zbliżyła się po cichu i ujrzała jednego z naszych wilków rozciągniętego a drugiego siedzącego nad nim i usiłującego go snąć obudzić. Lecz niedokonał tego bo żelazne dłonie Koboldy uchwyciły go za kark. Chłopak usiłował jej się wydrzeć, drapał, kąsał a nawet wyrwał kawałek ciała z chudego policzka Koboldy, ona jednak powaliła go na ziemię, przygniotła piersi i w otwartą gębę wlała płynu, po którym nie tak łatwo się kto obudzi....

— Co! otruła go? krzyknął Dietrich zrywając się z siedzenia i uderzając w stół silną dłonią.

Wielki mistrz znów skinął ręką na uspokojenie rycerza, a Drega mówił dalej.

— Nie obawiajcie się, szlachetny rycerzu, wszak Kobolda chciała oswobodzić swego małżonka, nie trulaby więc wilcząt, które nakazaliście żywcem sobie dostawić: dając to za warunek wyzwolenia starego Hexa. Wilczkowi nic się nie stanie, był to tylko napój usypiający, po którym też legł bezwładnie, a ona nie potrzebowała się z nim borykać. Drugi tylko, leżąc dotąd jakby kawał drzewa, zaczął się rzucać i zrywać jak szalony, lecz Kobolda nie zważając na ociekły krwią policzek, przytrzymała ptaszka, pochwyciła jak pierwszego za gardziel i gwałtem w gębę naląła tego napoju, który ona doskonale umie przyrządzać, a który przezorna niewiasta wzięła ze sobą. Uśpiwszy tak obu, opatrzyła sobie rany, porobione przez szalonego wilka i ruszyła ku drodze, żeby sprowadzić jakie wozisko dla zabrania ich obu. Zaledwie jednak wyszła ku drodze, kiedy od drugiej strony usłyszała tupot koni, chrzęst zbroi i przedzierający się oddział naszych. Jakkolwiek ze trzy staje drogi oddzielało ją od idących, mężna jednak niewiasta pędem rzuciła się, a dognawszy, przełożyła rzecz całą. I oto zaraz z oddziału wysłano kilku knechtów, którzy przenieśli uśpionych, niewiedzących o bożym świecie wilczków. Prosiła, żeby można ich zaraz odstawić na zamek, lecz rycerz Günter, prowadzący oddział, nie pozwolił na oddalenie się ludzi, owszem mówił, że im te ptaszki mogą być użyteczne. Kazał ich więc umieścić pomiędzy ciurami i powiódł dalej ze sobą. Mnie zaś kazał wracać z Hexową kobietą, abym wam rzecz całą przełożył. Ano tylko jeszcze i to muszę rzec także, jako Kobolda widziała ślady najwyraźniejsze ślepca Bernarda. Ten, po ucieczce wilcząt, także gdzieś przez parę dni się włóczył, a przed wyjściem z za murów i po powrocie gadał długo potajemnie z ojcem Germanem, który teraz w miejsce Hexa, ma dozór nad Wolfshöhle.

— Stul pysk! — porwał się milczący dotąd i jakby nawpół senny Zygfryd von Furchtvangen — nie kalaj ludzi świętych twą bezwstydną gębą.

Drega stał się naraz maleńki, zda się, że przed tym potężnym głosem byłby się chętnie skrył w najciaśniejszy zakątek olbrzymiej komnaty. Zygfryd jednak krzyknąwszy, opadł napowrót całym ciężarem wielkiego swego ciała na ławę i znowu przymknął powieki, jak gdyby się zmęczył zbytecznie tym jednym wybuchem. Wyciągnąwszy zaś rękę ku siedzącemu z opartą na dłoniach głową Dietrichowi, dał tem znak, aby ten w jego zastępstwie mówił dalej.

Po surowych lecz pięknych rysach Krzyżaka przebiegł uśmiech szyderczy, spojrzął na olbrzymią bryłę mięsa, noszącą miano Wielkiego mistrza, z ocz jego czarnych posypały się iskry gniewu i niecierpliwości: powściągnął je jednak, a tylko podniosłszy ramiona z pewnem lekceważeniem, zwrócił się do stojącego przy ścianie Drega i głosem, jakby go co dusiło w gardle, zapytał:

— Gdzież więc są owi odnalezieni?

— Jak to mówiłem Waszej wysokości, rycerz Günter kazał ich zabrać ze sobą, mówiąc, że nie ma ludzi dla odwożenia wilczków i że właśnie mogą mu się przydać.

— Tak więc i ślepiec Bernard i chłopaki wszystko naraz, na ową marną wyprawę — mruknął przez zęby Dietrich — a wszystko na djabła się przyda.

I znowu z pewnym lekceważeniem spojrzął na leżącego Wielkiego mistrza, a po chwili rzekł zwracając się do Drega.

— Idź do diabła!

— A Kobolda? — zapytał tenże.

— I ona niech idzie razem z tobą.

— A Hex? — pytał ciągle przyciszonym głosem stojący uparcie Drega, a jego chytre niewielkie oczy błąkały się po twarzy wzburzonej rycerza, zatrzymując się od czasu do czasu na wielkim opasłem licu drzemiącego mistrza.

— Do stu piorunów! Niechaj z was trojga piekło się ucieszy! — wrzasnął Dietrich uderzając pięścią!

Zygfyrd podniósł znów głowę, zwracając wzrok pytający na towarzysza.

— Czy Hexa wypuścić? — zapytał Drega, przybierając jak najpokorniejszą minę.

Zygfyrd poruszył leniwie ustami i skinął znowu rękę ku Dietrichowi, jakby już wszystko chciał uczynić, byleby się jak najprędzej uwolnić od opowiadającego i miły sobie spokój zapewnić.

— Idźcie wszyscy troje do diabła! — zawołał raz jeszcze Dietrich — rzekłem już, a niech się żadne Wielkiemu Mistrzowi nie pokazuje na oczy.

Drega cichuteńko lisim krokiem wyniósł się z komnaty.

Dietrich wstał i wielkimi krokami zaczął się przechadzać, jak gdyby chciał uspokoić umysł wzbudzony. Zygfryd zaś westchnął jak człowiek, któremu ciężar opadł z serca i pragnie teraz spoczynku, lecz z Dietrichem nie łatwa była sprawa.

— Nie pojmuję czemu Jego wysokość zezwoliła na tę wyprawę; obecnie Polska robi jakieś rokowania, by tę ciemną Litwę ku sobie przygarnąć. Nie drażnić więc nam Litwy napadami.

Zygfyrd westchnął powtórnie, a później machnął tylko po swojemu ręką, chcąc przerwać rozmowę. Dietrich jednak mówił dalej:

— Teraz nie wojną i napadami, lecz przyjaźnią z Litwą trzeba było wojować, ślać obietnicę a nie wojnę Gedyminowi, na obietnicę potęgi, Litwina, jak szczupaka na przynętę, brać nam należy. Ten polski Ladislaus nie wyrosłe i marne ma ciało, lecz umysł wyniosły, sięga szeroko i daleko, przyjaźń jego a swadźba z Węgrami, utrże mu drogę do cesarza a Rzymu, a przy takich rządach potęga Zakonu, i tak już zachwiana, do szczętu zmarnieje.

— Nie zmarnieje! — porwał się Zygfryd, słuchający dotąd tak samo z zamkniętymi oczami mowy Dietricha, jak poprzednio słuchał opowieści Drega.

— Nie zmarnieje! — wołał, uderzając w stół potężną pięścią.

— Nie zmarnieje, pókim ja mistrzem Zakonu! Nie zmarnieje! — powtórzył raz jeszcze i cały czerwony, z pianą na ustach, zwałił się na ławę.

Dietrich spojrzął na niego z pewnym politowaniem i przeszedłszy wolnym krokiem wzdłuż komnaty, we drzwiach rzekł do stojącego sługi:

— Powiedz ojcu Germanowi, że Wielki mistrz żąda się z nim widzieć.

I poszedł długim korytarzem w głąb komnat zamkowych.

Do wielkiej zaś sali wszedł wkrótce ojciec German ze zwykłym sobie spokojem na twarzy. Wszedłszy, rozejrzał się, a gdy w komnacie nikogo zrazu nie ujrzał, przyłożył rękę do czoła, zasłaniając się od bystrych promieni słońca, wpadających przez długie, wązkie okno jaskrawą barwą. A potem wprost skierował się do zagłębienia, gdzie leżał bezwładny Zygfryd. Schylił się nad nim, dotknął jego skroni, a natarłszy je wyjętym z zanadru balsamem, rozerwał też kaftan, cisnący szeroką pierś mistrza, dając co chwila wachać małą amforkę...

Zygfyrd począł wkrótce oddychać swobodniej, otworzył oczy, spojrzął na pochylonego nad nim kapłana, a ująwszy dłoń jego wychudzoną w olbrzymią lewicę, prawą szukał kubka z napojem.

German odsnuął kubek mówiąc łagodnie:

— Nie dla Waszej miłości teraz napój gorący.

Zygfyrd, jak posłuszne dziecko, dłoń opuścił, po chwili podniósł głowę wołając:

— Jam potęgą Zakonu!

I wielką pięść wyciągnął przed siebie.

German dłoń tę ujął i powoli, ze spokojem położył, mówiąc cichym głosem:



— Niech się Wasza wysokość uspokoi, dla dobra Zakonu i jego potęgi; nikt Waszej miłości tej potęgi nie odbierze.

— Nikt? — powtórzył Zygfyrd leniwym głosem i spojrzawszy na nachylnego kapłana, dał się jego słowom ukołysać i wkrótce cisza, przerywana tylko ciężkim sapaniem Wielkiego mistrza, zapanowała w komnacie.

Ojciec German podszedł do drzwi, a na znak dany przez niego, czterech olbrzymich knechtów postawiło ławę ze śpiącym na kołach i wtoczyło go do przybocznej sypialni.

German zostawił w spokoju Zygfyda i w zamyśleniu kroczył korytarzem do podziemia zamczyska.

Z głębi dziedzińca wchodził tam właśnie Dietrich w towarzystwie komturów. Ujrawszy Germana, zawołał, wskazując na kilku, nędznie odzianych, zsiadających na podwórcu z wychudzonych koni, żołnierzy:

— Oto robota i polityka Wielkiego mistrza! Günter<sup>11</sup> zaprzepścił najlepszych wojaków, nawet odnalezionych wychowañców Wolfshöhle wraz z jeńcami Litwa zabrała!

To mówiąc, jak szalony wbiegł w głąb zamku, a wpadłszy do izby, w której Zygfyda na wpół omdlałego zostawił, obejrzał się do koła. Nie zastawszy go, rzucił tylko pogardliwe spojrzenie w stronę, gdzie przed chwilą siedział, oczy mu zabłyśły złowrogo i mruknął coś pod nosem.

Potem oparł się o framugę okna, jak to miał we zwyczaju, i jął wypytywać o szczegóły przywiedzionych przez siebie, okrytych jeszcze pyłem podróźnym, żołnierzy.

Ojciec German tymczasem widząc wzburzonego marszałka, spojrzął tylko za wchodzącym w komnaty zamkowe i szepcząc: „*Pax Dei*”, powoli ku Wolfshöhle pociągnął.

## VIII

Wiść o niepomyślnej wyprawie na Litwę dość znacznego oddziału, lotem ptaka rozniosła się po wszystkich krzyżackich ziemiach. Komturowie, zarządzający powiatami, spodziewali się co chwila głośnego wezwania w imieniu Wielkiego mistrza, lub potajemnych rozkazów Dietricha z Altenburga, najpierwszego marszałka Zakonu.

Rozkazy jednak nie przychodziły, jakaś złowroga cisza zaległa ziemie krzyżackie; tylko tu i tam przytłumione szmery słyszeć się dawały na brak szerszego zajęcia, a tym sposobem i wojennych łupów.

Malborg nie wzywał ich ani na wojnę, ani na ucztę, któremi Wielki mistrz podczas pokoju zwykł był zabawiać swoich rycerzy. Na grudziązkim powiecie siedział komtur Hochswald, prawa ręka Dietricha, sojusznik w wielu sprawach tajemnych; ten najpierw spodziewał się wezwania od marszałka, lecz wezwanie nie przychodziło. Tymczasem jednego poranku, zdala, drogą od dolnej Wisły, ukazywać się zaczęli jezdni. Nie byli to sąsiedzcy komturowie, ani ich wysłańcy, lecz nie byli to i nieprzyjaciele, na przyjęcie których grudziązki zameczek ani nie był przygotowany, ani też nie spodziewał się ich przybycia. Od tamtej bowiem strony mogli jednak ciągnąć tylko polscy rycerze, lecz ci wprzód zawadzićby musieli o Chełmno i sąsiednie powiaty. Byli to więc jacyś posłowie, którzy też niebawem stanęli w Grudziążu.

Hochswald przyjął przybyłych, kilka słów z nimi zamienił i zostawiwszy ich w swojej siedzibie, sam, nie czekając wezwania, udał się do Malborga, gdzie przybył równocześnie prawie z powracającymi z niepomyślnej wyprawy.

Na widok rycerza Hochswalda rozpogodziło się chmurne oblicze Dietricha.

— Witaj nam komturze — rzekł doń marszałek łaskawie. Cóż, musimy obmyśleć jakiś środek, któryby zaradził popelnionemu głupstwu *wielkiej głowy* — ciągnął poufnie Dietrich, ujrawszy się sam na sam z przybyłym.

— Wszak marszałek i komturowie od tego! — rzekł szydlerczo Hochswald, uśmiechając się porozumiewająco. Obejrzał się jednak dokoła, jakby chciał się przekonać, czy są sami w niewielkiej komnacie Dietricha.

Dietrich zrozumiał wzrok jego, a spojrzawszy badawczo w twarz wiernego sobie komtura, zasępił czoło, pytając:

— Czy i stamtąd coś nowego!

<sup>11</sup> *Günter zaprzepścił najlepszych wojaków* — Günter z Szwarcburga, ten sam, który walczył przeciw Brandurczykom w Gdańsku, a potem zajął podstępem Pomorze r. 1309. [przypis autorski]

— Tak, ze strony Ladislausa przybywają posłowie...

— Posłowie? — przerwał Dietrich — czegoż chce ten *Klein-König*, czy przyjaźni? ha, ha, ha! — zaśmiał się Dietrich.

— Z posłami Ladislausa ciągnie Bartelemo, legat Jego Świątobliwości Jana XXII i ten Gerward, biskup Kujawski, który tak gardłował w sprawie koronacji *Klein-Königa*.

— Więc cóż? — przerwał niecierpliwie Dietrich.

— Legatowi papieskiemu towarzyszy prócz Gerwarda, Janisław, arcybiskup gnieźnieński i Domarat, opat mogielnicki — ciągnął dalej Hochswald w odpowiedzi.

— Może przywiesz jeszcze kogo — rzekł Dietrich, hamując wzburzenie.

— I tych chciałbym odwrócić od Waszej miłości, uważałem jednak za stosowne dać wam o nich wieści, najdalej bowiem za dwie doby staną w Malborgu, lub...

— Lub? — przerwał znowu Dietrich.

— Lub wezwą do ugody Wielkiego mistrza — dokończył Hochswald.

— A niech spróbują ruszyć z miejsca ten okseft na dwóch nogach — rzekł pogardliwie Dietrich. I wielkimi krokami zaczął się przechadzać po sklepionej komnacie, a chód jego ciężki i cięższy jeszcze gniewliwy oddech, odpowiadał echem.

— Niech spróbują! — mówił jakby na poły do siebie. — Ale ten dla świętego spokoju, byleby go z miejsca nie ruszono, przystanie na wszystko, zgubi Zakon i przyniesie hańbę imieniowi jego.

— Obok *tamtego*, co dla spokoju wszystko poświęca, jest *ten*, którego rozkazy nuczylimy się spełniać więcej, aniżeli Wielkiego mistrza — rzekł poufnie Hochswald. — Rozkazuj więc Dietrichu von Altenburg, wielki marszałku krzyżackiego Zakonu.

— Rozkazuj, rozkazuj, tak łatwo wam mówić! Wam wszystkim się zdaje, że ja tutaj wszystko mogę, a oto macie najlepszy dowód, iż taki Günter umiał podejść tę beczkę, i oto poszedł, zatracił najpiękniejszy oddział, a prócz tego, zatracił dwóch najdzielniejszych chłopców z całego Wolfshöhle, na których budowałem wielkie nadzieje. Za jednego byłbym może uzyskał zupełną ugodę z Gedyminem, bo ten chytry Litwin jest zakamieniałym poganinem, — a chłopiec był wnukiem najbardziej szanowanego w ich pogaństwie kapłana.

— Widzicie więc, że moje rady niewiele pomagają! — dodał po chwili, jakby uspokojony; że mógł wypowiedzieć całą złość która mu na serce spadła kamieniem.

— Trudno nad tem rozpaczać — mówił Hochswald — wiemy, że co *tamten* rozkaże, zawsze jest z krzywdą. Lecz właśnie w Was jedyna nadzieja. Teraz, gdy się zdarza sposobność i Ladislaus sam śle posłów o pokój, możemy granice rozszerzyć, a tym sposobem zagrozimy Gedyminowi.

— Co nam po groźbie, kiedy nam z nimi zgody potrzeba, inaczej Gedymin się wzmoże i lada dzień spadnie nam na kark i poodbiera ziemię na pruskiej Litwie! A wtedy hańba imieniowi Krzyżaków! — rzucił się Dietrich.

— Lecz Gedymin, widząc przymierze nasze z Ladislausem, nie będzie śmiał ziem odbierać, bo potęgą Zakonu wzrosnie przyjaźnią z tą nową potęgą polską, na którą i cesarz patrzy podejrzliwie — wtrącił Hochswald.

— Właśnie, że wszyscy, wszyscy patrzą na tę potęgę, a nikt nie stanie przeciw nim widomie — mówił Dietrich z coraz większym gniewem. — Ten Ladislaus koronował się, papież na to zezwolił, Jan luxemburczyk słabo się opierał, bo i to niedołęga, a mógł był ten szmat ziemi co Ladislaus zabrał, do Czech przyłączyć. W cesarstwie nie wiedzieć do kogo się udawać, gdy tron rozdwojony między Fryderyka austriackiego i Ludwika bawarskiego: jedność niemiecka się chwieje, a jedność polska pod Ladislausem wzrasta. Nam więc, nam trzeba stanąć teraz na czele tej jedności germańskich ludów! nasza potęga powinna im zastąpić cesarską i stać się silną całemu światu. My, jako zakon pochodzący od najpierwszych wojowników chrześcijańskiego świata, powinniśmy światu całemu przewodzić, nam powinny trony wszystkie hołdować! Tymczasem nędzne polskie książętko koronę sobie kładzie na głowę, a Zakon na czele ma taką głowę, która nic nie rozumie tego, jest tylko wielkim lejkiem, przez który wlewa się napój do beczki!

— Ha, to hańba! — wołał zapamiętałe Krzyżak, piniąc się ze złości, aż wreszcie, jakby mu już słów na określenie tej hańby nie stało, usiadł, a oburącz podparłszy się na stole, skłonił na szerokie dłonie stroskane czoło.

— Od czegoż Dietrich von Altenburg! Wszak wszyscy, ilu nas jest komturów, uważamy cię zawczasu jako Wielkiego mistrza. Zygfyda więc rozkazy mogą być pominięte, a woła Dietricha stokroć przy układach szanowaną — mówił Hochswald przyciszonym głosem.

— Pochlebstwem chcesz mnie ująć, przyjacielu — rzekł, podniósłszy głowę Dietrich. — Czy myślisz, żem ja żądny władzy dla siebie? Wiem, ile ta władza trosk przynosi, ile wrogich ma umysłów, lecz jej pragnę dla Zakonu, który chciałbym postawić na najwyższym szczeblu potęgi. Jam Krzyżak z krwi i kości, dla mnie nieistnieją ludzie tam, gdzie krzyżacki miecz nie włada, a widzę, że im dalej odwlecze się moje mistrzostwo, tem trudniej mi będzie podźwignąć upadający Zakon, tem ciężiej przenieść całą potęgę germańską na ręce krzyżackiego Zakonu. Tak, teraz czas zgnębić sąsiadów, za jakąkolwiek cenę zgnębić ich pragnę! Teraz jedynie przyjazna chwila! cesarze gryzą się o koronę, papież musiał opuścić Rzym i tam w Awinionie zamieszkać. Tak, teraz Zakon musi pochwycić najwyższą władzę i w swojej potędze zjednoczy wielkość germańską!

— Więc Zygfyda usunąć... — szepnął Hochswald.

— Nie, stracić go z mistrzostwa nie możemy, ma on swoich przyjaciół, nie możemy uczynić tego bez zezwolenia papieża, a wiesz jak on jest ku nam źle usposobiony...

I spojrział Dietrich na przyjaciela, gdy oczy ich się spotkały, w źrenicach ich zabłysła myśl, którą obaj doskonale rozumieli, a której jednak żaden z nich głośno wyjawić nie śmiał. Popatrzyli więc tylko na siebie porozumiewająco, a Dietrich, jakby po krótkiej walce ze sobą, wstrząsnął głową, mówiąc:

— Nie, po stokroć, nie!

I wstrząsnął się, a twarz jego, oszpecona gniewem, jakoś wyszlachetniała, jak gdyby z gładkiej płyty marmuru zrzucił kto pokrywającą warstwę błota, lub gad, kalający go swoją posoką. Powoli stawał się spokojniejszym, lecz odbłysek szlachetności, szyderstwo i chytry podstęp zajęły, a sfaldowane czoło świadczyło o głębokiej trosce, nurtującej duszę Krzyżaka.

Zapanowało milczenie, tylko ciężki oddech dwóch ludzi słychać było w komnacie.

— Tak — przerwał nagle Dietrich — musicie mi dopomóc, ja nie dam ginąć Zakonowi, nie pozwolę, by jakieś lackie książątko nabierało przewagi. Posłów przyjąć trzeba z całą hojnością i bogactwem Zakonu, trzeba ująć sobie legata, Włoch musi być naszym, a to co on przedstawi papieżowi, powinno nas w dobrym świetle przed nim przedstawić. Biskupów polskich, którzy cały proces Ladisłausa o ziemię z nami prowadzą, trzeba również ująć, choćby datkiem, obietnicami dostojenstw...

— Niebezpieczna to droga i nią nam wojować nie można — rzekł Hochswald — mają to być tacy, jakim był ich pierwowzór biskupi w tym kraju, św. Stanislaus, który się królowi porąbać pozwolił, a nie ustąpił.

— Ha, nie datkiem, to obietnicą rozszerzenia wiary i potęgi państwa, ująć ich można. A gdy zawrzemy z nimi ugodę, wtedy łatwiej pokonać nam będzie dumnego Gedymina, który, słysząc, zamek nad Wilją buduje obronny i gród nowy zakłada.

— Tak, i to zamczysko podobno kamienne, bodaj, czy nie na wzór naszego, tak mówią przybyli z ostatniej wyprawy — podsunął Hochswald.

— Niechaj buduje, i z nim nam potrzeba przyjaźni. Kiedy my więc tutaj układać się będziemy z posłami Ladisłausa z wiedzą Zygfyda; potajemnie wraz z Robertem von Wartburg i Zygfydem von Papenheim poniesiecie Gedyminowi dary i wejdziecie z nim w przyjaźń, nakłaniając do pogębienia Ladisłausa, jako czyhającego na ziemię za Bugiem. Wasza głowa w tem, żeby Gedymin zgodził się iść z nami ręką w rękę i skłonił lud swój do wyprawy na wschodnie polskie ziemie. My tymczasem wytargujemy na polskich posłach, jak najdalej w ich ziemiach granicę, podpiszemy ugodę, zostawiając sobie jakiś uboczny punkt do zerwania; łatwo nam będzie, boć ani ów Bartelemo, ani przemądrzały Gerward, ani też dwaj gardlujący za sprawą Ludisłausa biskupi, na prawie zgoła się nie znają.

— Rozumiem — odrzekł słuchający pilnie Hochswald. — A potem, gdy Gedymin spadnie na polskie karki, podburzyć można mazowieckiego księcia, aby dopominał się o ziemie, które Ladislaus pod swą władzę zagarnął.

— Do tego łatwo Ziemowita skłonimy, on i tak niechętnie na wyniesienie się *Klein-Königa* patrzy, boć te szmaty ziemi, związane w jedną koronę, zagrażają i dumnym

mazowieckim księżętom — prowadził dalej Dietrich myśl podsuniętą przez Hochswalda. — Zresztą, chciwie to książątko, łatwo obietnicą pomocy pozyskać, trzeba tylko rąk, któreby w pracy dopomagały, a przedewszystkiem głów, coby umiejętnie, bez wiedzy Zygryda, lub choćby za jego wiedzą lecz z potwierdzeniem tego opasnego wołu, wzięły do dzieła.

— Rąk i głów na wykonanie waszych rozkazów, marszałku, nie zbraknie — rzekł Hochswald. — O mojej wierności mówić nie potrzebuję, lecz jesteście pewni, że w poselstwie na Litwę Robert von Wartburg i von Papenheim dzielnie wam dopomogą?

— Dopomogą, jeśli wy, Hochswahldzie, ręka w rękę ze mną idąc, rzecz całą przeprowadzicie rozumnie. Wielki mistrz, chcąc mieć Wielkiego mistrza miano, udaje że słucha, gdy mu mówią o sprawach Zakonu, a zwłaszcza o nabyciu ziem od lechickiej strony, ba, jako też i o rokowaniach z Ziemowitem, boć wie, że na tej drodze zyski dla Zakonu pewne, pewniejsze niżeli w otwartej walce. Lecz gdy mu kto wspomni o ugodzie z Gedyminem, wytrząsa się i burzy, jako napój długo w zamkniętej beczce stojący. Zdaje mu się, że gdy ten szum a burzyny na litewskie pola wypuści, zaleje oczy całemu ludowi. Tymczasem lud ten coraz staje się sroższym, posuwa granice ku Rusi i pod Nowogród, używając wszelkich sposobów, by stać się podobnym ucywilizowanym ludom. Bodaj nawet potajemnie i do papieża Gedymin sięga i obietnice przyjęcia wiary Chrystusowej czyni, byleby tylko naszego apostołstwa nie potrzebował. Co gorsza nawet, stawiając zamki, staje się nam groźnym, napady nasze nie są mu już straszne jak wtedy, gdy w chatach chruścianych siedział... Niewiele potrzeba, by z bronią do naszej podobną, wpadł na nasze ziemie i na naszych karkach, w krzyżackich dzielnicach sprobował ich mocy. Lecz ten *opas* nie wierzy temu, dla niego Litwa jest zawsze tym samym dzikim, co dawniej, krajem i w żadne z nią rokowania wejść nie chce...

— Lecz wy tego chcecie, chce tego Zakon cały, wszyscy komturowie — przerwał ogniście Hochswald — cóż więc oglądać się mamy na tę bryłę mięsiwa.

— A jednak dla utrzymania porządku w Zakonie, bryła ta jak wicie potrzebna — podjął Dietrich. — Ten sam Wartburg lub Papenheim, dziś mówiący ze mną tak otwarcie, kto wie, czy nie kryją dumnych zamiarów, aby po zejściu Zygryda ująć mistrzowskie berło, trzeba więc każdego z osobna utrzymywać w tej wierze, że im tylko godność się ta należy. Dla tego nawet wzywam ich do potajemnego na Litwę poselstwa...

— Upewnię ich więc, szepcząc każdemu na ucho, że zawarcie z Litwą przyjaznych stosunków, będzie dla każdego szczeblem do godności Wielkiego mistrza; nie obawiajcie się, Dietrichu von Altenburg, Hochswald umie szanować wasze zaufanie i tak jak wy pragnie wielkości zakonu.

— Przy którym marszałkostwo główne wam, dla dobra tegoż Zakonu musi być powierzone — rzekł Dietrich, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela.

— Dla dobra Zakonu, na sławy krzyżackiego imienia, które pragnąłbym, jako i wy, podnieść do najwyższej potęgi — odrzekł Hochswald i uściśnawszy podaną sobie dłoń przyszłego mistrza, poszedł spocząć, a Dietrich rozweselony, podążył do Wielkiego mistrza z oznajmieniem przybywających gości.

Zygryd leżał, jak zwykle, w swej komnacie, na szerokiej ławie, okrytej miękką oponą i niedźwiedzią skórą, zdobyczą zapewne z Litewskiej wyprawy. Ogień z marmurowego komina rzucał jaskrawe światło, oświecając rozrosłe, lecz bezwładne jego ciało i twarz bezmyślną, ułożoną do zupełnego spokoju. Na odgłos otwierających się drzwi i znanych mu dobrze kroków, Zygryd poruszył ustami z pewnym skrzywieniem, jak gdyby czuł przedsmak gorzkiego lekarstwa, potem przymknął oczy, westchnął głęboko, lecz mimo to dał znak ręką wchodzącemu, ażeby się przybliżył.

— Zawsze ta niemoc w nogach, obezwładnia mnie ona zupełnie... — począł leżący, tłómacząc się niejako ze swego spoczynku.

Dietrich nie słuchał nawet jego wyrazów, lecz stanąwszy obok Zygryda, rzekł:

— Przybywają nam goście, z którymi trzeba się rachować, tak w przyjęciu, jak w słowach.

Zygryd jeszcze więcej przymknął powieki, jak gdyby chciał się uchronić od widoku przybywających.

— Legat jego świętobliwości Jana XXII w towarzystwie Gerwarda, biskupa Kujawskiego, Janisława, arcybiskupa gnieźnieńskiego i Domarata, opata mogielnickiego, tych dwu krzykaczy w sprawie Ladislausa o Pomorze — ciągnął dalej Dietrich.

— Jego świętobliwości Jana XXII — powtórzył leniwie Zygfyd. — Wszak już ojciec święty przysłał legata w sprawie biskupa ryskiego i sprawa ta zakończona — dodał po chwili, z widocznym wysiłkiem.

— Z biskupem już zakończona — rzekł Dietrich, hamując niecierpliwość — lecz rozpoczyna się sprawa Ladislausa o ziemię Dobrzyńską i Michałowską, o które proces nam wytoczył król polski, a ze skargą śle wciąż do papieża. Gerward prócz tego, rości sobie pretensje do części Kujaw, przez nas zajętych... Bóg wie, co przynoszą ci posłowie.

— Więc radź, marszałku — rzekł Zygfyd — wszak widzisz żeś niemocen...

— Radzić mogę, lecz na ostateczną ugodę trzeba zezwolenia Wielkiego mistrza, musicie więc stanąć osobą swoją wśród przybyłych, lub...

— Lub? — przerwał z ożywieniem Zygfyd.

— Lub przy zwołanych pospiesznie komturach dać rozkaz, aby moja wola była wypełnioną jako wasza — rzeki powoli Dietrich.

— Nigdy! — krzyknął Zygfyd, zrywając się. To pognebi moją powagę, postawi waszą władzę obok mojej, a tylko ja, ja tutaj Mistrzem! Ja, Zygfyd von Feuchtwangen! nikt mojej władzy nie zagarnie, rozumiecie, nie zagarnie! — zerwawszy się, wołał, i pienił się i czerwieniał coraz więcej Zygfyd.

— Nikt nie śmiałyby podnosić na tę władzę ręki — odparł Dietrich spokojnie — jak też i nikt z radą nie wystąpi. Niech ojciec święty przysła kłątwy, a Zakon niech za zdobyte krwią swoją ziemię płaci grzywnami, rozsiewając hańbę swojego imienia, my z pokorą tylko schylimy głowę, szanując w tem wolę Wielkiego mistrza — dodał Dietrich, a schylając głowę z udaną pokorą, cofał się ku drzwiom.

— Co to, groźba! rozprzężenie w Zakonie! — krzyczał Zygfyd zrywając się z ławy i stając na całą wielkość olbrzymiej swojej postaci.

— Nie, to uległość — rzekł szyderczo Dietrich.

— Ja zdepczę was wszystkich, tu, pod moją stopą — rzekł Zygfyd, uderzając potężną nogą o podłogę. — Tu, pod moją stopą zegniesz głowę Ladislaus, zetrę potęgę Gedymina i Zakon uczynię potężnym! — wołał, podnosząc pięść do góry.

Lecz nagle zachwiał się i runął na ziemię.

A marszałek spojrzawszy z pogardą na leżącego, rzucił, odchodząc:

— Gdyby nie Dietrich von Altenburg, tak runęłaby potęgą krzyżacka!

I uderzywszy młotem żelaznym o wiszącą blachę przy drzwiach komnaty, wyszedł z miną zwycięzcy, a na odgłos młota zbiegła się służba, czuwająca snąc w pobliżu nad Zygfydem, który po każdym wybuchu gniewu wpadał w omdlenie.

I znowu powtórzyła się znana nam już scena przywołania ojca Germana z trzeźwiącemi lekami.

Gdy potężny Zygfyd przychodził do siebie, stawał się zwykle łagodnym jak baranek, a raczej obojętnym, spoglądającym na wszystko z beźmiernym spokojem, byleby mu tylko nikt tego pokoju nie naruszał.

To też gdy we dwa dni potem Malborski zamek roił się przyjezdnymi, Dietrich von Altenburg w otoczeniu najprzedniejszych komturów przyjmował dostojnych gości i w imieniu Zygfyda, zawierał z nimi układy. Gdy zaś po skończonych ucztach i rycerskich ćwiczeniach, które na zamku dla przybyłych wyprawiono, goście ci opuszczali krzyżackie zamczysko, Barthelemo niósł papieżowi dary, na znak uległości Zakonu, a posłowie Władysława Łokietka obietnicę zwrócenia ziem żądanych, zapewnienie przyjaźni i prośbę, aby nowo koronowany król wszedł w ugodę z krzyżackim Zakonem dla podniesienia wyprawy krzyżowej przeciw pogańskiej Litwie. Jednocześnie zaś Hochswald z Zygfydem z Papenheimu i Karolem z Wartburga, dążyli szlakiem ku północno-wschodniej stronie, niosąc sojusz zakonu przeciw zjednoczonym ziemiom pod potężnym ramieniem ukoronowanego małego Ladislausa.



## IX

Gdy na malborskim zamku zamieszki i kłótnie wprawiały w wściekłość rycerzy krzyżackiego Zakonu, a rządy Zygryfda rozprzegającego się porządku przywrócić nie zdołały, gdy marszałek zakonu Dietrich von Altenburg, miotający się bezprzestannie na słabe rządy mistrza, usiłował na swój sposób potajemnie prowadzić umowy, Polska pod mądrymi rządami Władysława Łokietka wzrastała w potęgę, jednocząc rozproszone ziemie pod jednym berłem.

Monarcha ten zapewniwszy sobie przyjaźń i pozwolenie papieża, Jana XXII, wezwał biskupów i kazał się koronować w Krakowie roku 1319. Koronacją tą uczynił Kraków najpierwszym miastem w kraju, stolicą, czem przejednał zupełnie niechętnych sobie jego mieszkańców. Sprzymierzył się też i z Węgrami wydając córkę swą Elżbietę za męznego ich króla Karola Roberta Andegaweńskiego, który również kosem okiem na niemieckie sprawy poglądał, a przeciw Krzyżakom, jako odrośl germańskiej potęgi chętnie pomoc swą Łokietkowi obiecał. Tak więc ów zakon musiał się teraz rachować z Polską, a chociaż mimo rozkazu papieża, nie oddał jej ziemi michałowskiej i pomorskiej, wyzywając ją niejako do wojny, teraz sprawę z potężnym jej królem uważał jako ostrą kość, do przelknięcia trudną. Dietrich więc, nie mogąc od południa lub zachodu zjednać sobie sprzymierzeńców przeciw Polsce, postanowił nieprzyjazną jej dotąd Litwę jeszcze więcej wrogą uczynić. Przez lat trzy żadne znaczniejsze napady od strony Krzyżaków nie trapiły mieszkańców ciemnych puszczy i lasów; jeżeli zaś jaki niewielki napad zniszczył sioło i mieszkańców uprowadził, Dietrich von Altenburg słał zaraz do Gedymina z zapewnieniem, iż to tylko część nieposłusznych ciurów napad uczyniła, on zaś domniemany przysły Wielki mistrz, dzierżący i teraz już władzę, obiecuje przyjaźń i braterstwo. Prócz tego obiecywał Wielkiemu księciu królewską koronę od samego papieża i cesarza, równającą się godnością i potęgą innym panującym. Namawiał też do wspólnych napadów na Polskę, które i tak Litwa uspokojona od strony Krzyżaków często przedsiębrała.

Wyprawy te robiono tak dla lupy, jako też i z przyzwyczajenia do walki, bez której ludy owe już obejść się nie mogły. Szły więc posły Zakonu do księżęcej stolicy, ciesząc się z walki dwóch ludów i zagrzewając do niej tajemnie. Lud litewski krzywym okiem spoglądał na przeciągających posłów krzyżackich; przeczuwał bowiem, iż chcą knezia na wiarę krzyża nawrócić, obawiając się jednak potęgi Zakonu i władzy Gedymina, nie zrywał się do boju.

Lecz i Łokietek miał równą broń z Zakonem. Krzyżacy mieli potęgę miecza, Łokietek miał nowe zjednoczone państwo, łaskę papieża, przyjaźń chwilową niemieckiego cesarza, przyrzeczoną pomoc Węgier a własnych rycerzy i miecze wyrównujące sile i obosieczności krzyżackiej. Odpierał więc napady Litwy, zabierał w walce jeńców, lecz z tymi rozkazywał dobrze się obchodzić. Nie jednemu pozwolił wracać do swoich, a ten, uszczęśliwiony ze swobody, roznosił wśród ludu wieść o malutkim człowieku u sąsiadów nad Wisłą, co wielkim rządzi narodem. I jedną sobie przychylnych pośród zapadłych grodków litewskich, a wielu już Kunigasów miał za sobą.

Słał więc swoich Dietrich, lecz słał i Łokietek na dwór Gedymina a zwykle tak się działo, że ledwo wyjechali zbrojni Krzyżacy, wjeżdżało rycerstwo Łokietkowe. Łączyło się też z Łokietkowymi ziemiami i mazowieckie księstwo, a nieprzychylny mu dotąd stryj Ziemowit, książę na Płocku, widząc potęgę małego synowca, zawarł z nim ugodę przeciw Krzyżakom i wspólnie z nim garnął się do litewskiego knezia. Tak więc zamek jego w Wilnie od dwóch lat ciągłych przyjmował gości, a wzbogaconą zajęciem ziem ruskich Litwa, coraz to więcej wychylała się z za ciemnych swoich lasów. Gedymin zaś, zawarłszy roku 1321 przymierze z arcybiskupem ryskim Wilhelmem i przez niego torując sobie drogę do papieża, nie wiele sobie w ostatnich latach robił z Krzyżaków.

Tymczasem wysłani posłowie Zakonu, spotykając po drodze drewniano, gdzieniegdzie opatrzone chrustem zamczyska, wzruszali tylko ramionami z pogardą.

— Po co tyle zachodu? — mówił Zygryfd von Papenheim, u nas stajnie a psiarnie są lepsze, aniżeli te domostwa!

— Nogą kopnąć a cała Litwa się rozwali. Nie rozumiem czemu Wielki mistrz tyle pracy sobie zadaje, mówił dalej Zygryfd nieznający dotąd Litwy. Z tymi, którzy są z nami, podjąłbym się tę psiarnię rozproszyć.

— Boście jeszcze nie próbowali litewskiego ramienia, a nie znacie też ich skrytych zabiegów, ozwał się Robert z Wartburga, rycerz doświadczony, co już w niejednej był tutaj walce. Zda się, że to kupa chrustu, gliny, kamieni i kłód drzewa, a gdy z pod tego wszystkiego wyroi się lud gruby i nieociosany jako te kłody i siądzie na karku, to i ostry miecz krzyżacki i świadomość wojenna nie wiele pomoże. Dzikie to, a też jako dzikie rwie się bez pamięci i rzuca na najbardziej uzbrojonego człowieka. A twarde i dumne jako te bory, przez które nie łatwo nam się przedzierać było.

I rzeczywiście, na pozór wszystko było do zdobycia łatwe, bo zamiast wałów doskonale usypanych i fos obronnych, tam był rów, owdzie dół na poły napełniony kamieniami, od jednej tylko strony zaczęto kopać porządną fosę, a z wyrzuconej ziemi sypać wał, przekładając go i ubijając gęsto kamieniami a strojąc kopaną murawę. Po chwili trudnej przeprawy przez rowy i korzenie, zaczął się ukazywać na wzgórzu nowo wznoszący się z kamienia zamek, którego wieżyce i baszty jeszcze wykończone nie były.

— I wilki uczą fęguwiaka swoje ochraniać, już nie tylko na swoje rachują pazury, — Zygryd, spostrzegłszy ów wał obronny i kaimieue mury Gedyniinóweyro zuuiku, a wreszcie i domostwa porządnitysze, które WilijaiWilejkn okrążając, jakby dwoma ramionami, czyniła z natury miastem obronnem.

— Hm, Zakon miał słusność wysyłając ze zgodą, bo gdy te wilki będą miały oprócz przyjaźni z ryskim biskupem, władzę nad Rusią, wały ochronne i braterstwo z polskim Ladislausem, to z marnej garści dziczy staną się wrogiem, z którym Zakon musi się pilnie rachować, rzekł Robert przypatrując się wałom.

— Robercie von Wartburg, mówisz tak, jakobyś we własną sprawę wiary nie miał, ozwał się milczący dotąd Hochswald. Jesteśmy na to wysłani, przez Wielkiego mistrza, żeby zgody z Ladislausem niedopuszczyć, a ku nam ją obrócić.

— A który to Wielki mistrz was wysłał, rycerzu von Hochswald, czy ten, co jak beczka na ligarach leży dniem i nocą na ławie, czy ten, co rwie się by jak najprędzej po nim władzę zagarnął? ozwał się z uśmiechem Robert.

— Gardłujcież tak, żeby wam za powrotem mądra głowa od gardzieli na wieki nie odskoczyła, dodał po chwili.

— Co to, groźba? zawołał z iskrzącym okiem Hochswald.

— Nie, to przyjacielska rada towarzysza Zakonu, odrzekł szydyczko Robert.

A w tem od błotnistej strony zamku, gdzie most ruchomy z desek był ściągnięty, a bystro płynąca Wilija niedozwalała przystępu, ozwały się trąby, a potem głos donośny pytający w jakim celu przybywają posłowie. Zygryd kazał zatrąbić na znak pokoju i zgody. Wkrótce po przedstawieniu tych oznak most z ruchomych desek został rzucony na rzekę, a posłowie Zakonu, trzymając przed sobą miecze w pochwach wjechali w głąb podwórca, pogardzanego przez siebie drewnianego zamczyska.

Tu i owdzie błysnęło za nimi złowrogie spojrzenie Litwina, tu i owdzie syknęło przekleństwo, lecz posłowie ni oka, ni ucha na to w tej chwili nie mieli. Im była potrzebna przyjaźń Gedyminowa!

A śnać spodziewano się tych posłów na książęciem zamczysku; bo Gedymin otoczony najprzedniejszymi Kunigasami, mając po prawej stronie sędziwego Tubingasa, a po lewej syna Lubarta, księcia wołyńskiego, siedział na wzniesieniu. Na głowie śpiczasta z sobolich skór kneziowska czapa, na ramionach rysia zarzucona skóra, nogi oparł na żywym w kłęb zwiniętym niedźwiedziu, a stojące przy nim lipowe chodaki świadczyły, iż kneź na przyjęcie posłów niezaniechał codziennych obyczajów. Nogom bez obuwia pozwalał odpoczywać wygodnie w kudłatych zwojach żywego podnóżka, obok którego leżały jeszcze, pysk oparłszy na przednich łapach, dwa niedźwiedzie, jakby gotowe na każde skinienie swojego pana. Żadnego uzbrojenia nie miał Gedymin, lecz za nim stali pacholkiwie ze zwieszonym łukiem ku ziemi. Obok Chroniwosa stał Siewros i Jaśko w lniane szaty odziani, a wyrosli i wśród puszczy litewskich zmężnieli. Tuż zaraz za księciem stał ślepiec Bernard z nieodłączną swą gęślą, był on jeszcze bardziej wyblady i zwiędły z otwartymi, choć nic niewidzącymi, w jeden punkt zapatrzonymi oczyma. Ten ostatni miał służyć za tłumacza między przybyłymi a Gedyminem, który, obawiając się zdrady chciał oprócz tłumacza przywiezionej przez posłów Zakonu, mieć jeszcze swojego.

Od chwili bowiem, gdy się Gedymin dowiedział o wychowancach Wilczego Gniazda tak cudownie Litwie wróconych, zażądał, aby ci do dworu jego należeli. Bernard zaś

szczególne miał łaski; nie wydawał on się jawnie z wyznawaną przez siebie wiarą, dziwny jednak urok ciszy i pokoju na otaczających wywierał; rzekłbyś zaczerpnął tego uroku od swego mistrza ojca Germana w zakonie... Sam Gedymin nawet chętnie słuchał jego głosu. Wychowawcy zaś Wilczego Gniazda postawieni byli na urągawisko Krzyżakom, a nie omylił się też w swojej rachubie Gedymin, bo zaledwie weszli pogłowie do komnaty zamkowej, rycerz Hochswald aż pokraśniał i zgrzytnął zębami ujrzawszy dawnych wychowawców Zakonu groźnie patrzących na siebie.

— Witam was, mili goście w moim ubogim zamku, wielki to zaszczyt dla tak mizernego księcia, że posłów potężnego Zakonu widzi u siebie. Mówił z udaną pokorą, choć wyniosłym głosem Gedymin, rozkazując wyrazy swe powtórzyć Bernardowi.

— Rozumieliśmy doskonale waszą mowę wielki i potężny książę na Wilnie i całej Litwie. Nam to zaszczyt przynosi, że nas wysłuchać raczycie — ozwał się rycerz Hochswald, władający doskonale litewską mową i właśnie jako tłumacz przybyły.

— Och, nie wiedziałem, że tak znacie nasz dziki język! dla tego też zapewne i nasz tłumacz, który w wojnie oczy postradał, i te oto młokosy dodał wskazując na Siewrosa i Jaśka mowy swej wśród was nie zapomnieli. Jednak chociaż wy władacie naszą dziką mową, wasi towarzysze, a mnie mili goście, zapewne jej nierozumieją i dla tego niechaj ów młody ślepiec powtarza nasze wyrazy. Ale skoro przynosicie nam pokój a zgodę, bywajcie nam mili w naszym biednym grodzisku, jakoby w swoich komnatach, a zasiądźcie z nami do uczyty i czarny chleb, co nasza ziemia wydaje i mięsiwo zwierza naszych lasów i miód od naszych pszczół raczcie spożywać.

To mówiąc Wielki książę klasnął w dłonie, a pachołcy postawili przed wzniesieniem książęcem stół wielki, dostający wysokością siedzącego Gedymina i całego otoczenia, kiedy w drugim rogu naprzeciwko książęcego wzniesienia, stół się znacznie zniżał. Przy nim na przystawionej ławie Gedymin wskazał miejsca gościom. Wszystko to zaś kazał urządzić przebiegły książę, żeby mając posłów Zakonu przy jednym ze sobą stole, z góry na nich spoglądał.

Posłowie spojrzeli wzajem na siebie, po dumuem czole Hochswalda przeszedł błysk złowrogi, nic jednak żaden nie rzekł na to widoczne nie dobrze wróżące dla sprawy upokorzenie. Nie siedli też na wskazanych miejscach, owszem usunąwszy się na bok zamienili kilka słów po niemiecka półgłosem, tak, że ani ucho Gedymina, ani nawet delikatny słuch Bernarda wyrazów pochwyć nie mógł. Na rozkaz Zygryda pachołkowie przybyli z nimi, a trzymając dary postąpili ku Gedyminowi, stół zastawiony okrążając; niedźwiedzie jednak nie pozwalały zbliżyć się do knezia. Nie objawiały one swojej ku nieznanym niechęci, ale spjrzały na nich rozumnymi oczami, co wstrzymało w należytej odległości przynoszących pod czerwoną oponą od Zakonu dary.

— W księgach naszej wiary stoi, — ozwał się Hochswald, — że dobry i wiemy sługa nie powinien tknąć jadła i napoju, nie powinien strząsnąć pyłu podróżnego z odzienia, póki nie spełni rozkazów swojego pana. My też chcemy być wiernymi temu, co zapisano w księgach, a i wiernymi Wielkiemu mistrzowi Zygrydowi von Feuchtwangen. W imieniu więc tegoż Wielkiego mistrza jako i całego Zakonu, przynosimy dary wielkiemu księciu litewskiemu Gedyminowi, potężnemu władcy ziem ruskich, prosząc, ażeby je przyjął jako znak zgody a braterstwa z Zakonem.

— Dary przyjmujemy, ozwał się Gedymin, kryjąc pod obfitym zarostem uśmiech szydery, boć jakżebyśmy śmieli odrzucić dary tak bogatej i potężnej dłoni, jak dłoń krzyżackiego Zakonu.

Posłowie się skłonili nabierając otuchy.

— Zgoda także nam do serca idzie, a braterstwo, chcielibyśmy chadzać w nim z wami, — mówił po chwili Gedymin, lecz u nas jako i u was są postanowienia, że bracia jednak tylko drogą iść mają, a Zakonu droga i litewskiego księcia, to bodaj wcale jest różna.

— Braterstwo łąco przyjdzie skoro jeno zgodę i dary przyjmujecie; odrzekł Hochswald. To mówiąc, dał znak dwom potężnym pachołkom, którzy się pod owemi uginali darami. Pachołcy zbliżyć się chcieli, lecz zwrócone oczy niedźwiedzi powstrzymały ich znowu na miejscu. Gedymin skinął, Siewros i Jaśko podeszli czekając na rozkazy.

— Mam ja tu, rzekł książę, swoich młodzieniaszków, pewno znana Zakonowi ich siła, podołają oni choćby największym ciężarom, a waszym pachołkom oszczędzą strachu przed moimi sługami, dodał, wskazując na leżące niedźwiedzie.

Siewros zdjął oponę i wziął z rąk pacholków przyłbicę i na konia oponę, Jaśko ujął pięknie wyrobioną zbroję jedną ręką, drugą miecz wielki, a przytrzymawszy pochwę zębami wyciągnął go i podniósłszy ku górze lekko zabłysnął przed oczyma zdziwionych jego siłą posłów krzyżackich. Z temi darami wskoczył na wzniesienie, a tak zwinnie i lekko jakby zamiast miecza trzymał sokoła. Poczem przykląkł przed księciem i podał mu miecz obnażony.

— Dobra wróżba — rzekł Gedymiu wesoło, lackie pacholę miecz obnażony podaje, i to miecz krzyżacki, a litwin prawy hełm od Zakonu przynosi.

To mówiąc, odebrany mieczem, nie wstając ze swego książęcego tronu, krąg przed sobą zakreślił i kilka cięć na prawo i na lewo w powietrzu wykonał. I wreszcie oddał go Jaśkowi, który włożywszy miecz w pochwę, oparł go przy boku księcia, i podając zbroję, gdy jednocześnie hełm i piękną na konia oponę Siewros składał u nóg Gedymina.

— No, tego przymierzać nie będę rzekł Gedymin, bo czapka wielkiego Kunigasa a knezia i te rysie skóry, równie mnie od nieprzyjaciół zasłaniają jako i najtęższe zbroje. Lecz dar Wielkiego mistrza jest my bardzo drogi, a na zamku złożonym będzie jako dowód jego ku nam przyjaźni.

— Przyjaźń ta szczerza, a tak przez będącego obecnie Wielkiego mistrza Zygfyryda von Feuchtwangen, jako i wszystkich marszałków zakonu z Dietrichem von Altenburg na czele, jest najgorętszem na przyszłość życzeniem — ozwał się Zygfyryd von Pappenheim.

— Przyjaźń ta większą jeszcze miałaby pewność, gdyby wasza książęca mość powolną była pokornym radom zakonu... — dodał Hochswald zbliżając się ku Gedyminowi.

— Na wszelkie rady dość jeszcze czasu — odparł niecierpliwie Gedymin. Stary zaś Tubingas zwrócił swoje ślepe białkiem przewrócone źrenice na mówiącego, chcąc temi oczami, bez wzroku, do głębi mówiącego przeniknąć. Tak zaś kneź, jak i Tubingas co innego pod tą radą rozumieli, pierwszy połączenie się z zakonem przeciw Polsce, drugi przyjęcie chrystyjanizmu. To też Gedymin zmarszczył tylko brwi i wpadł w zadumę, kiedy stary kapłan zacisnął pięść, zerwał się z siedzenia, lecz przypomniawszy sobie słowo dane kneziowi, opadł na siedzenie, tylko ręką w krawędź ławy tak uderzył, jak gdyby chciał ją wyrwać z pod siebie i rzucić na przybyłych. Chroniwos również uczynił jakiś ruch niespokojny i bezwiednie prawie ujął toporek tkwiący za pasem.

— Najlepsza rada pokrzepić się po dalekiej drodze — przerwał wreszcie milczenie Gedymin i klasnął w potężne dłonie.

Na znak ten, pacholkiwnie wnieśli ogromne misy dymiącego się mięsiwa. Na jednych leżał zwierz poćwiertowany, na innych w całości, nad ogniskiem pieczone wielkie łosie i dziki. Przed kneziem stawiano owe niepocięte zwierzęta, a ten biorąc za nogi darł je w kawały, jeden dając ślepemu Tubingasowi, drugi zabierając sobie, resztę oddawano godownikom, stawiając tylko przed Lubarteni, jako synem książęcym nienapoczęte misy, jako też i przed posłami zakonu. Ci mimo pewnej niechęci jaką widzieli w kneziu i całym jego otoczeniu, dość często rzucali ogryzione kości psom czekającym na kęs swój pod stołem.

Zaraz też za każdym prawie uczującym zjawił się pacholek, nalewając z wielkich pozłocistych dzbanów napój sycony z miodu i chmielu, a wielce przez krzyżaków lubiany, chociaż oni byli więcej do wina przyzwyczajeni.

Jeden tylko Tubingas nie tknął owego napoju, wylał go za siebie na objatę bogom, a wody kryniczucj kazał przed sobą postawić.

Wkrótce przy uczcie zrobiło się gwarno, twarze zaczerwienione zwiastowały pewne zadowolenie, kryjące jednak w głębi gryzącego robaka nieufności. Bernard, na znak Gedymina śpiewał trącając w gęśle, nucił pieśń starą, lecz pieśń ta była tylko szumem, echem odległym, które przygłuszone zostało coraz to gwarniejszą rozmową.

## X

Uczta przeciągnęła się prawie do słońka zachodu, godownicy, jak i gdzie który mógł, legli na spoczynek, a że niewielkie były wymagania ludzi nawykłych do niewczasów wojennych, niewielkiego też potrzeba było przygotowania dla przybyłych gości. Z tem wszystkim starzec, zarządzający zamkiem Gedymina, krzyżackim posłom wskazał izbę z za-

słanemi wilczurą łożami i misternie tkanemi lnianemi ręcznikami, misą wody, a także i przygotowanym dzbanem napoju.

Gedymin leżał w swojej komnacie, mimo jednak napoju, długo przewracał się na łożu, a sen nie sklejał jego powiek. Po wesołej uczcie snąc jakaś myśl niespokojna trapiła jego głowę. Zasnął wreszcie, lecz widocznie jakieś straszne widziadła snuły mu się po głowie, bo zrywał się często, wymawiając urywane wyrazy, a zaledwie jutrzienka wychyliła się z szarego pomroku, książę siadł na posłaniu i przetarł oczy, otwierając je szeroko. Westchnął wreszcie jak człowiek, który zrzucił z siebie ciężar, lecz jeszcze czuje brzemień jego na swoich barkach.

Na to westchnienie obrócił się ulubiony niedźwiedź, spoczywający opodal łoża, przysiadł na tylnych łapach, łeb podniósł do góry i słuchał, oczekując rozkazów, a może codziennej pieśczoły. Gedymin jednak nie zwrócił na to uwagi, zgło rozerwał na piersiach, jakby to lniane odzienie nawet go dusiło. Spojrzał w ognisko, które jakieś słabe rozlewało światło, odwrócił się od okna, zasuniętego zaporą i plunął trzykrotnie przed siebie, a to wszystko dla tego, żeby zapomnieć snu trapiącego, wreszcie klasnął w dłonie. Na odgłos ten przyczołgał się ulubiony niedźwiedź, dwa inne, śpiące u drzwi wraz z pachółkiem, leniwie mruknęły, a pacholek też otrzeźwiony klapnięciem, jednocześnie z niedźwiedziem stanął przed Gedyminem.

— Tubingas! — zawołał książę.

Pacholek, nierozumiejąc, co znaczy imię ślepca-kapłana, pochylał tylko pokornie głowę, a potem głupowato na księcia poglądał.

— Zwij do mnie ślepego Kunigasa — i ręką wskazał ku drzwiom.

Pacholek czempredzej zwrócił się, by spełnić wolę pana. Niedźwiedź, widząc biegnącego, posunął się za nim, jakby go chciał ubiedz w spełnieniu rozkazów, rzucił się i jednym susem oparłszy łapy o drzwi, na rozcież je rozwarł. Po twarzy Gedymina przeleciał uśmiech zadowolenia.

— Mądra bestya! — mruknął książę a jednocześnie lekko świsnął.

Niedźwiedź, zwróciwszy swe cielsko, znów jednym susem był u nóg księcia, a przypadłszy na ziemię brzuchem, skulił pod siebie łapy i warował, mrużąc żałośnie, jakby chciał przeprosić, że nie w porę się wybrał ze swą gorliwością. Książę podsunął nogi pod pysk zwierzęcia, niedźwiedź przytrzymując je w wielkich swych łapach, oblizwał szerokim językiem. Książę otarł nogi o kudłaty grzbiet ulubieńca, czyniąc to prawie bezwiednie, co dowodziło, że był to jego obyczaj codzienny. Po tych pierwszych krokach rannej toalety, książę, jakby nagle przypomniał sobie jakąś myśl trapiącą, siadł na ławie, niezważając, że niedźwiedź ująwszy w łapy krótkie skórzane spodnie wciągał je księciu, a potem nasuwał na nogi chodaki. Książę poddawał się tym operacyom swego czworonożnego pokojowa, jak się poddaje człowiek, który mając czem innem myśl zaprzątniętą, zezwała na wszystko, co się w około niego dzieje. Gdy jednak niedźwiedź ujął pas i stojąc na dwóch łapach z nim przed panem, nie mógł się doczekać, aby Gedymin go odebrał i dopełnił ubrania, zniecierpliwiał się wierny pokojowiec, i cichem mrużeniem oznajmiał swą obecność.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł Tubingas przez Siewrosa poprzedzany. Prąd porannego powietrza, jaki przybyli przynosili ze sobą, orzeźwił Gedymina, podniósł głowę, ujrzał stojącego przed sobą wiernego Meszkę, wziął od niego pas ze skór borsucznych szyty, a zakładając na siebie, zawołał:

— Do kąta, Meszka!

Niedźwiedź posunął się leniwie, spoglądając na lnianą opończę, którą zwykł był jeszcze swemu panu podawać, poszedł jednak na swoje miejsce, a zwinąwszy się w kłębek, pomrukując, spał, czy też sen udawał, gdy tymczasem dwaj jego towarzysze, śpiący dotąd, przy drzwiach, za otwarciem się takowych stanęli na dwóch tylnych łapach, przednie założywszy na piersi, jakby dwaj najbardziej wyuczeni pokojowcy.

— Witajcie nam, miły Kunigasio — rzekł Gedymin, biorąc dłoń przybyłego.

— Witajcie, Gedyminie, ojczy Litwy! a niech bogowie, którzy was zbudzili wczesnym rankiem, dobrą myśl w waszą głowę i serce przysła, a odwróć wszelką nieczystą siłę!

Gedymin w miejsce odpowiedzi westchnął głęboko, podsuwając ławę przybyłemu, aby spoczął.

— Nie, nie siadę, póki nie dowiem się czy w sercu twojem nie zagnieździł się robak przez wrogów wprowadzony, robak, co chce zgryźć święte nasze dęby, podkopać je

i zwalić, a na ich miejscu wystawić to samo godło, co czernieje na płaszczach krzyżackiego zakonu. Godło to stoi mi ciągle w ślepych moich oczach jako straszne widmo, i serce moje się wstrząsa na samo wspomnienie, że siekiera wroga wyciesze je z tych drzew, co nam przez wieki szumem opowiadały wołę bogów, a na opustoszałych polanach postawi swe znaki... Wtedy przekleństwo tobie, przekleństwo tym, którzy cię do tego namówili, bo zginie przeszłość nasza, i bogowie — w proch wielkość imienia Litwy obróca.

I starzec stojąc przed wielkim księciem, wznosił oba ramiona ku górze, jakby chciał wraz ze słowami rzucić gromy na głowę stojącego przed nim Gedymina. Ten ze schyloną głową i pewną trwogą słuchał głosu przybyłego.

Starzec wlepił białkiem świecące swe oczy, a tym zaślepłym wzrokiem zdawał się wpijać w głąb duszy wielkiego księcia i przenikać jego najtajniejsze zamiary. Chwila była milczenia, wśród którego Gedymin zdawał się walczyć ze sobą i zabobonnym strachem, jakim go napełniły słowa przybyłego. Opamiętał się jednak wkrótce, a wyprostowawszy swą wyniosłą postać, zawołał:

— Wstrzymaj Tubingasio groźby swoje! przyzwać cię kazałem, więc rady twej nie przekleństwa żądam. Gdybym chciał jąć się krzyżackich posłów i na wiarę ojców nastawał, nie wzywałbym rady kapłanów, tylko według mojej woli postąpił.

— Wola twoja byłaby podłą, gdyby nie była wolą całego narodu: wtedybym podłożył ogień pod twój zamek i wraz z nim na objętą Perkunowi oddał ciebie i siebie — mówił Tubingas, kładąc dłoń swą na ramieniu księcia.

— Nie sroż się ojczy, powtarzam, zamek mój miły jest bogom naszym, chociaż go obcych zbudowały dłonie, bo pierwej nim wzniosłem jego mury, wystawiłem świątynię Perkunowi: a zamek ten potrzebny, bo gdy przez lasy nasze przedarły się wrogowie i coraz więcej w głąb ziem postępują, i trzeba im dać poznać, że i my umiemy obronne mury wznosić, i my możemy im zrównać potęgą.

— Potęgą wiary ojców i miłości ziemi naszej pokonamy ich, jakeśmy dotąd pokonywali, inaczej biada tobie, biada twoim synom i wnukom, biada całemu ludowi, on aż do imienia zaginie!.. Zaginie! — powtórzył ślepiec, wstrząsając ramieniem Gedymina, jeżeli się złączysz z posłami zakonu.

— Nic chcę się z nimi łączyć i dla tego u ciebie rady szukam Kunigasio, lecz ich drażnić nie mogę, a przybyłym dać trzeba odpowiedź, oni chcą z nami się łączyć przeciw innej potędze, która również dla nas jest groźną...

— Wszystko nam jest groźne — przerwał Tubingas — odkąd do chat naszych wnikają obce przybysze, opowiadając o wielkości swych bogów, odkąd dla świętych dębów cześć osłabła, a potajemne szepty modłów się rozchodzą! Wzrok mój ciemny widzi dalej aniżeli oczy tych, co jasno widzą słońce: bo w tem słońcu szukają tylko dla siebie blasku, któreby im oświeciło koronę na głowie. I ty po nią sięgasz, Gedyminie! a z koroną na głowie będziesz słabszym, aniżeli twoi ojcowie, którzy siłę swą czerpali ino w potędze miecza i jedności ludu.

— I ja pragnę jedności tego ładu — odrzekł Gedymin..

— Pragniesz, to nie łącz się z nikim.

— Więc najadą wrogowie ziemie nasze! bo gdy się nie połączę z Krzyżakami przeciw Władysławowi lackiemu, on połączy się z Wielkim mistrzem i z dwóch stron najadą ziemie.

— O święte bogi, czemuż opieka wasza odwróciła się od wiernego wam ludu! czemu siła dłoni naszych tak zmalała, że nie może już sama ocalić ziemi! — rzekł Tubingas, skłoniwszy głowę na piersi.

— Dłonie nasze nie zesłabły, staną one i teraz w obronie ziemi i ludu! lecz gdy żyć będziemy wiecznie sami poza lasami, nie wiedząc, co się u sąsiadów dzieje i nie przypatrując się jak oni żyją, łatwiej nas pokonują. Boć mają i broń lepszą i różne wojenne fortele, a też i rozmaite umięją rzeczy, o których lud nasz nic dotąd nie wiedział.

— I dobrze mu z tem było! — przerwał Tubingas. — Teraz sprowadziłeś rzemieślników ze stron dalekich, i oto patrz, co się dzieje, przybysze ci, a jeszcze więcej lacy niewolnicy, którychś wolno puścił, aby przy budowie pomagali, uczą lud nasz swoich pieśni, uczą czcić ich Boga.. Ba, i ty sam słałeś do najstarszego w ich religii kapłana! — dodał po chwili — winienesz więc przeciw bogom i przeciw ludowi, pozbawiając go największego skarbu: starej ojców wiary....

— Kunigasio, bluźnisz, wywołując złość! Ty przy ognisku świętych dębów nie widzisz nic, — co się dzieje poza lasami, ja za te lasy z mieczem wychodzę, a znam mój lud! I on w bojach widzi jako jest u innych i u siebie chce mieć także opatrzenie...

— Przekleństwo im, przekleństwo tobie! jeżeli lud swój do złego prowadzisz! — krzyknął znów Tubingas.

I jakby opadły z sił i pogiębiony oporem księcia, padł na lawę, zwieszając głowę na piersi.

Gedymin zmarszczył brwi i jakby go znużyła rozmowa ze ślepcem, gromkim głosem zawołał:

— Dość tego! Księciem jestem, panem Litwy całej! sięgam ramieniem na wschód po dalekie ziemie, mam prawo rozkazywać i rządzić według mej woli! Jeślim was wezwał, to znak, że szanuję ojców zwyczaj i bez najstarszego Kunigasa-ślepcy, miłego bogom, nie chcę nic stanowić, lecz groźb się nie ulękę, nie! a bogi, co widzą czyny moje, sądzić je będą.

A mówił to Gedymin tak groźnym głosem, że aż niedźwiedzie przytuliwszy uszy, na brzuchach przypelzały do nóg pana, jakby go chciały błagać o miłosierdzie. Siewros, blady, stał oparty między dziadem i kneziem, a na jego młodzieńczej twarzy nie drgnął mięsień żaden, lecz znać, że w duszy młodego wychowawca Wilczego gniazda tajemna jakaś toczyła się walka.

I znowu była chwila milczenia, słuchać było tylko ciężki oddech dwu rozgniewanych ludzi i lekkie mruczenie przylaszonych, nie śmiejących się ruszyć niedźwiedzi.

Gedymin wstał z miejsca, potrącając nogą o łeb wiernego Meszki.

— Na miejsce, bestye! — krzyknął gniewliwie, a Meszka ze swoimi towarzyszami jednym skokiem usunęli się z drogi panu.

— Ha! — zerwał się Tubingas — przyzwyczaiłeś się rozkazywać zwierzętom, i z ludu twego takie pokorne, płaszczące się bydła chcesz uczynić!

— Zrobiłem te bestye pokorne, lecz nauczyłem je tego, czego żyjąc w lasach nie umiały! nauczyłem ich życia z ludźmi! — odrzekł wielki książę, biorąc się pod boki i stając z wzniesioną głową przed ślepcem. — Nauczę tego samego i lud mój.

— Więc giń! zawieraj przymierze i pędź do zguby. Niechaj bogowie sądzą sprawę twoją! Ja, ślepiec, nie umiem patrzeć już jasno na sprawy świata tego! leci póki tchu w piersi stanie, bronić będę świętego ogniska i dębu. A gdy go ścinać przyjdą wpiję pazury jako niedźwiedź w pierś tego, co podniesie siekiere, i szarpać będę, a cielska rzucić na ogień dla prześlania bogów. A gdy mi sił do walki nie stanie, obejmę dąb nasz stary i z nim razem skonam!

I wzniosłszy dłoń jedną ku górze, drugą wyciągnął przed siebie, idąc pewnym krokiem. Wtedy ocknął się Siewros i zbliżył chcąc ująć ramię dziada, lecz ten odsunął rękę i szybciej niżby na to wiek i brak wzroku pozwalał, opuścił wielkksiążęcą komnatę.

Siewros, odtrącony, nie śmiał się ruszyć: wyniosły postawą, stanął jako stęp graniczny między dawnymi pojęciami dziada, a dążącym do cywilizacji księciem.

Gedymin zwrócił węż nagle ku niemu.

— Tyś długo u Krzyżaków zostawał?

Ocknął się młodziec i zwrócił niewielkie, lecz przebiegłe swe oczy na twarz księcia.

— Jak długo, nie umiem Waszej księżęcej wysokości powiedzieć, lecz małem musiałem być chłopięciem, a skorom podrósł i stałem się szparkim, choćby do miecza gotowym, uciekłem z ich Wilczego Gniazda, boć tak swoją szkołę nazywają.

— A w tej szkole czego was uczono?

— Zapomnieć mowy i wiary ojców.

— A czyś je zapomniał?

Siewros się wstrząsnął.

— Widzicie, miłośnicy książę, że choć mnie wzięli gdy jeszcze dobrze imienia ojców wymawiać nie umiałem, mowa ta była we krwi i w piersiach moich, dźwięczała mi w uszach jako szum lasów, a gdym poczuł dym chaty ojczyściej, wprędce i mowa mi się znalazła.

— A czy tam oprócz tego, co z tobą przybył, i więcej lackich pacholąt?

— Oj, było ich, było, a tak jak i nam wymyślali im, nazywając wilkami, a plemię ich jak i nasze mieli w poniewierze, i oni tęsknili za swoimi i nieraz mówiliśmy sobie,

że gdybyśmy wspólnie się wzięli a ogień podłożyli, toby i Wilcze Gniazdo i cały potężny zamek w gruzu się zapadł. Lecz to były tylko dziecięce igraszki, boć zamek ich silny, cały kamienny! — dodał młodzieniec z westchnieniem.

— Lecz ramię Gedymina i lackiego króla nie są dziecięcą igraszką — mruknął wielki książę jakby do siebie, a twarz jego, chmurna przed chwilą, rozpogodziła się uśmiechem, jakby jakaś myśl nagle przemknęła przez jego głowę.

— Tak, tak — mówił Gedymin do siebie, wpatrując się w twarz młodzieńca — często przez usta niedoświadczonych chłopiat bogowie zsyłają nam radę!

Wtem z za ciężkiej, wzorzystej, snąc na wrogach zdobytej opony, ukazała się jasna główka dziewczęcia, zielonym strojna wieńcem i zabrzmiał głos:

— *Tew's*<sup>12</sup>.

Gedymin na głos ten uśmiechnął się i zwrócił rozpogodzone oblicze. A z za opony weszło dziewczę w białej lnianej odzieży, pasem czerwono barwionym opasane. Tuż za nią szła druga, również młoda, o ciemniejszych włosach, również w lnianej odzieży, lecz bez wieńca na głowie, a zamiast czerwonego pasa, obejmowała ją w pasie wicina spleciona. W rękach niosła dzban duży i kubek, gdy tymczasem pierwsza trzymała ręcznik lniany, wzorzysto-wysztyty przy brzegu. Dalej, zaraz za nimi szły jeszcze dwie inne, niosąc dymiącą się misę jadła i kubek z wodą zdrojową.

— *Tew's!* — mówiła pierwsza — tak dawno już słońce wstało, czas tobie się posilić.

Gedymin dłoń położył na główce córki i z lubością wpatrzył się w to młode, świeże oblicze.

— Dobrze, Aldono, córo moja, daj posiłek, boć nam trzeba się pokrzepić... a gniew zalać.

— Do zalania gniewu jest tutaj doskonały napój, którego mnie Bogna przyrządzać nauczyła. To napój, który piją w jej kraju: a snąc miłym być musi naszym bogom, bo gdy część na ogień wylała, błysnął niebieskim płomykiem, a potem jakby złotem na wszystkie strony objął polano!

To mówiąc, wzięła kubek z rąk stojącej obok niej Bogny, a ta weń naląła ciemno-żółtawego płynu. Gedymin przyjął podany napój, znów jakiś uśmiech przeszedł po jego obrosłej twarzy, a wylawszy część napoju przez ramię w płonący ogień, odwrócił się ku ognisku i spojrzał ciekawie.

— Napój to musi być dobry, bo ognia nie zalewa, ni go też zbyt nie syci.

I przytknąwszy do ust, wypróżnił podany kubek.

— Aa! — rzeki, oddając kubek — napój miły, w piersiach po nim błogo.

I pogładził pierś włochatą na poły obnażoną, gdy stojąca obok córa z ciekawością na niego patrzyła.

— Napój lacki — szepnął do siebie Gedymin — chłodzi i orzeźwia... I tego mowa, wszystko się dziwnie składa... takich rad, zsyłanych od bogów, odrzucać nie trzeba — mrucał do siebie książę, jak to było w jego zwyczaju, gdy myśl ciężka głowę mu obsiadła.

Naraz zwrócił się do córki.

— Tego lackiego napoju daj i jemu.

To mówiąc, wskazał na stojącego w głębi Siewrosa i przypatrującego się ciekawie książęcej córce i jej dziewczkom służebnym.

Na znak Aldony, Bogna przysunęła się do Siewrosa i podała mu nalany kubek. Chłopiec wziął kubek, lecz nim go poniósł do ust, wpatrzył się w młodziutką twarz dziewczęcia, które ze spuszczonego wzrokiem przed nim stanęło. Na ciemne jej włosy padł promień wiosennego słońca przez otwarte z zapory okno i dziwnym blaskiem ozłocił pogodne, choć smutne czoło Bogny.

Siewros stał z podanym kubkiem w ręku i wciąż patrzył na nią ciekawie, aż wreszcie Bogna, podniosłszy na niego spuszczone dotąd oczy, szepnęła:

— Pijcie, to nasz napój, lacki, książę wam podać kazał.

Siewros machinalnie poniósł napój do ust i wychylił go duszkiem, a oddając kubek Bognie wpatrzył się w nią znowu.

I tak samo jak książę, bezwiednym prawie ruchem pogładził się po piersiach bo napój i jemu najwidoczniej przypadł do smaku.

<sup>12</sup>*Tew's* — Ojcie. [przypis autorski]



— No, cóż, ten lacki napój? — zapytał Gedymin, patrząc na rozjaśnioną twarz chłopca z zadowoleniem.

— Jeszcze nigdy nic takiego nie pił, coby od razu i ochłodziło i jakąś myśl wesołą przyniosło! — rzekł w odpowiedzi Siewros.

— Lacki napój smakuje młodemu litwinowi! — zaśmiał się książę. — Idź, opowiedz, że lachy dobry mają napój, a książęca córka nauczyła się tego napoju przyprawiać — rzekł wesoło książę i zabrał się do porannego posiłku.

A Siewros odchodząc mówił do siebie:

— Napój lacki godny, jak nie znałem dotąd napoju, lecz i dziewczka, co mi go podała, piękna jakby królewna. Ona laszka, lecz jam ją już spotkał. Oj, spotkał; nie pierwszy to raz obaczyłem ją chyba.

I mówiąc tak, w myśli szukał, czemu twarz Bogny tak mu wydaje się znaną.

## XII<sup>13</sup>

Gdy o południu posłowie Krzyżacy stanęli w komnacie zamku Gedyminowego, książę miał zamyśloną oblicze, szarpał brodę i chmurno przed siebie spoglądał. W otoczeniu zaś księcia brakowało Tubingasa, inni jak wczoraj byli przy jego boku. Lecz jeżeli Gedymin spoglądał ponuro, na twarzy Chroniwosa znać było troskę i jakąś tajemną walkę; stał on w tem samym miejscu co wczoraj, a obok niego świeciło pustką miejsce, nie zajęte przez starego Tubingasa.

Z tych chmurnych twarzy nie dobrze śnać wróżyli sobie posłowie; krótkie też było posłuchanie, w którym Gedymin rzucił w odpowiedzi, że szanuje wielce przyjaźń Wielkiego Mistrza, pochlebnym jest mu związek z potężnym zakonem, nie może jednak stanowczej dać odpowiedzi, czy się skłoni do wojny z lackim Władysławem.

— Biedneć to moje i nieliczne państwo, nie może tak od razu zbierać ludu, by napadać cudze ziemie, kiedy i swoich bronić i ład jakiś zaprowadzić w nich trzeba. Wilczeć to tylko gniazdo, ale dla tego, że wilcze, trzeba stać na jego straży, aby młode wilczęta wychowane w cudzem gnieździe zawsze węchem do swojego wracały — dodał, chytrze spoglądając na posłów.

I zawoławszy ulubionego Meszkę, jął się z nim bawić, a potem spuściwszy głowę na piersi, zamknął oczy, jakby w półśnie chciał odpoczynku poszukać. Był-li to fortel, czy spoczynek, trudno odgadnąć.

Posłowie, widząc, że innej odpowiedzi nie usłyszą, opuścili książęcą komnatę, a nim słonko zeszło z południa, przebywali most zamkowy, nie mieszkając poza nim jak dobę.

Gedymin, usłyszawszy skrzypiące wrzeczadze zsuwającego się po ich przejeździe mostu, splunął trzy razy przed siebie, odetchnął jak człowiek, któremu zdjęto ciężar z piersi i posunął się ku komnatom niewieścim.

Ujrzawszy Aldonę, siedzącą na przyzbie i stojącą przed nią Bognę, podszedł ku nim, chcąc po wszelkich trudach przy swej córce odpocząć.

Lecz książęca córka tak była zasłuchana w opowiadanie Bogny, a Bogna tak śnać przejęta dźwiękiem słów własnych, że nie słyszały nawet ciężkich książęcych kroków.

Gedymin, słysząc podniesiony głos Bogny, stanął, chcąc dowiedzieć się, co ta lacka branka jego córce prawi.

Były to jednak dla niego niezrozumiałe wyrazy, ale Aldona je rozumiała, ba, nawet sama mową Bogny się odezwała.

— To opowiedz mi, jak to u was po dziewczkę przychodzą swaty?

Bogna nie zdążyła odpowiedzieć, bo Gedymin zniecierpliwiony oczekiwaniem, zawołał:

— A pójdź no tu sroczo moja, toś ty się tak z Bogną zbratała, że już nawet mową jej gadasz?

Aldona zasromała się, lękając gniewu ojca, spuściła głowę nieśmiało, spoglądając ku niemu, lecz gdy zamiast gniewu, ujrzała dobroduszny uśmiech na jego obliczu, zaczęła szczebiotać, opowiadać, co tylko słyszała od Bogny o zwyczajach lackiego kraju, i o swatach, jakie tam zwykle po dziewczęta przysyłają.

<sup>13</sup>XII — w wydaniu źródłowym prawdopodobnie błędna numeracja rozdziałów — po rozdziale X następuje rozdział XII. [przypis edytorski]

Gedymin jeszcze więcej się uśmiechnął, a ujawszy jasną kosę córki, rzekł wesoło:

— Ano, może i po ciebie jakie swaty przyślą, to dowiesz się najlepiej, jaki jest po świecie obyczaj!

I mrugnął okiem, patrząc na pokraśniałą twarz córki.

— Ale nim swaty przyjdą, a kosę swoją pod czepiec schowasz, przygotuj nam wczesny posiłek: jutro, zaraz gdy gwiazdy pogasną, a świt się ocknie, trzeba nam w knieje. A i napitka Bogny naładuj w pęcherze. Dobry to napój lacki!

— A jeżeli nam szczęście przyniesie i wróżby się spełnią... Hm! hm! — mrucał już sam do siebie, krocząc dalej.

Aldona i Bogna pobiegły w głąb dworca, aby spełnić rozkaz księcia.

Gdy na drugi dzień książę wyciągnął na łowy, wśród osad, okalających zamczysko, gwarno było i wesoło. Lud zgębiony pobytym posłów Krzyżackich, wysypywał się teraz z chat swoich, bo widział się bezpiecznym, jeżeli nawet sam książę z zupełnym spokojem oddawał się ulubionej rozrywce. Skupiał się zaś lud ten najwięcej około świątyni Perkuna, gdzie przez drzwi otwarte widział wiecznie płonący ogień, a dym zwierchnim otworem wydobywał się gęstymi kłębami, otaczając sinym obłokiem ogromnego wilka żelaznego, stojącego u szczytu świątyni, przez którego rozwartą paszczkę, widać było często wymykające się płomyki.

— Nie darmo bogi zesłały wolę swoją Gedyminowi we śnie — mówiono — odsunął on Krzyżaki, a jako ten wilk ziejący ogniem, kneź mieczem na nieprzyjaciół zionąć potrafi.

— Cześć Perkunowi!

— A niechaj ogień w świątyni nigdy nie zgaśnie! — wołano.

I każdy z przechodzących rzucał w otwarte drzwi pęk ziół, lub zwierzę, które stojący poza drzwiami ofiarnicy Perkunowi oddawali.

— Perkun! Perkun! — wznosiły się głosy do koła.

A były to głosy jakiegoś spokoju i lud po złożeniu objaty, spieszył do pracy około rozpoczętych chat, dworców, lub do sypania wałów około wznoszącego się Wilna, stolicy Gedyminowej, która rozciągając się w dolinie, otoczona z jednej strony górami, a z drugiej rzeką, sama już przez się poniekąd obronną była.

Przy gontynie jednak Perkuna był zakątek osamotniony, drzewami otoczony, a wysokim ogrodzeniem z chrustu przed ciekawych wzrokiem zakryty. Do tego zacisza nietylko obcym lecz i najwierniejszemu Litwinowi wchodzić nie było wolno, miejsce to bowiem było schroniskiem dziewczic, które na obsługę świątyni, na cześć bogów żywot swój oddały. Która raz przestąpiła wrota tego zakątka, już z poza nich nie wracała.

Obowiązkiem pobożnego ludu było składać u wrót dary, każdy też, a zwłaszcza niewiasty, składały je hojnie, a zaledwie słońko wzbilo się od wschodu, gdy Aldona i Bogna u wrót tych stanęły. Niosły one w dzbanach ów lacki napój, pęki ziół i wielkie chleby: była to objata za pomyślny łowy knezia, a może do niej łączyła się inna, którą skrycie Gedyminowa córka w swem sercu chowała. Zatrzymać się jednak musiały, bo właśnie przed wrotami stanął Tubingas prowadząc dziewczę młode, smagłe, chwiejące się a wystraszone wzrokiem spoglądające do koła.

Od drugiej strony biegł szybko Siewros z Jaśkiem, na twarzach ich znać było przestraszonych i zdziwienia.

— Grażusa! — krzyknął Jaśko, i biegł ku stojącej u wrót dziewczynie.

— Grażusa! — powtórzył Siewros smutnie, lecz powstrzymał towarzysza, mówiąc:

— Nie obronisz jej, Tubingas oddaje ją Perkunowi.

— Grażusę Perkunowi! — powtórzył Jaśko i chciał odtrącić powstrzymujące go ramię.

— Ja nie dam jej spalić! — krzyknął, wyrывая się Siewrosowi.

— Nie spalę jej! Tubingas ją na służbę Perkunowi oddaje! woła jego spełnić się musi!

— Nie dam jej, nie dam! życiem swoim ocalę! — wołał Jaśko, szarpiąc się z Siewrosem.

— Próżno, jedno z nas bogom poświęconem być winno — mówił Siewros, przytrzymując przyjaciela.

Wtem Tubingas popchnął przyprawioną dziewczynę za otwierające się wrota.

— Nic ją już nic ocali! — zawołał Siewros.

— Grażusa! Grażusa! — wołał na cały głos Jaśko, a śnać głos ten doszedł poza wrota, bo dziewczynka obejrzała się z taką siłą, że dwie kapłanki, prowadzące ją pod ramiona,

musiały stanąć na chwilę. Potem, unosząc ją prawie gwałtem, zniknęły wśród bocznych skrzydeł gontyny.

Tubingas spełniwszy swe dzieło, szedł z wyciągniętą naprzód dłonią; i on usłyszał okrzyk Jaśka, odwrócił się w stronę, skąd go okrzyk doszedł, a potem, szepcząc jakieś wyrazy, biegł z młodzieńczą żywością, aż zniknął wreszcie tam, kędy Ponary wznoszą swoje szczyty.

Aldona i Bogna, wstrzymane w swej pobożnej pielgrzymce, patrzyły wylęknione na odbywającą się scenę, a gdy krzyk Jaśka ich doleciał, odwróciły się ku niemu. Bogna, ujrawszy tego samego młodzieńca, któremu wczoraj lacki podawała napój, żywym pokraśniała rumieńcem.

Siewros spojrział na nią, potem wzrok przeniósł na stojącego w niemej rozpaczycy Jaśka i szepnął:

— To czary, Jaśko i ta dziewa, to jedno lice, tylko ona gładsza i piękniejsza. Oh! i jak piękniejsza!

— Czy ona wasza, ta, co ją dali Perknnowi? — zagadnęła Aldona, zbliżając się do Siewrosa.

— To moja siostra! — rzekł smutno Siewros.

— I jego? — wskazała na obok stojącego w bezsilnej rozpaczycy Jaśka.

— Nie, ale on ją miłował — rzekł Siewros.

— Miłował, a Perkunowi ją oddali! — powtórzyła smutnie Aldona.

— Czy i u was oddają bogom dziewczki na służbę? — zapytała, zwracając się do Bogny.

— U nas Bóg jest tylko jeden, a temu zawsze się służy, gdy się jest dobrym — odrzekła Bogna.

— Gdy się jest dobrym — powtórzyła Aldona. — Ja chciałabym być bardzo dobrą — dodała.

I poniosła swoje dary, a postawiwszy u wrót schronienia dziewczic, odeszła w zamyśleniu wraz z Bogną.

Jaśko z Siewrosem stali długo na miejscu, każdy zasmucony, a każdy inaczej. Jaśko wreszcie ocknął się, zacisnął pięść i pogroził nią w stronę gontyny, rzucając przekleństwo.

— Nie miota się bogom cudzym, bo tem się Najwyższego obraża! — ozwał się też obok niego łagodny głos Bernarda. — On cię może wybrał, abys był pośrednikiem między twoim a tutejszym ludem — mówił dalej Bernard.

I położywszy dłoń na ramieniu młodzieńca, odwiódł go w inną stronę, cichą z nim prowadząc rozmowę.

Nikt też, oprócz najbliższej przechodzących, nie zwrócił uwagi na okrzyki Jaśka; każdy głosem swoim wzywał opieki bóstwa, nic więc dziwnego, że ktoś tam głośniej zawołał, a w zamieszaniu ogólnem nie rozumiano nawet, co kto wykrzykiwał.

I wkrótce wszystko ucichło; lud, oddawszy cześć Perkunowi z początkiem dnia, dążył do pracy. Jedni biegli do owych wznoszonych przez Gedymina budowli, przy których cudzoziemcy rej wiedli, inni naprawiali i odbudowywali własne domostwa, aby nim mgły szare do długiego zimowego snu słońko ukołyszą, wzniesć dach zawalony, lub przęśła podeprzeć. A każda chata potrzebowała podparcia i naprawy, bo choć nie było wielkich napadów ze strony Zakonu, w mniejszych wyprawach, czynionych na ochotnika, nie oszczędzali oni ni czleka, ni zwierza, ni drzewa, ni schronisk, które lud litewski klecił sobie z chrustu i kamienia.

### XIII

Książęca stolica ponętny w owym czasie przedstawiała widok. Oprócz Greków, Włochów, Niemców sprowadzonych z odległych krajów do stawiania zamczyska, ba i całego miasta, które Gedymin chciał wzniesć z kamienia, nie licząc pomagających im robotników, wilo się tam niemało wszelakiego ludu. Bo Wilno stało na drodze handlowej do bogatego Nowogrodu; przeciągali więc kupcy z Zachodu, a każdy zatrzymując się dla wypoczynku, widząc miasto wznoszące się coraz więcej, chętnie jakiś czas zostawał, aby zachwalać towar, część jego pomiędzy mieszkańcami zostawić.

Kapłani krzywo na to patrzyli, ba i starcy szemrali: ale Gedymin chętnie pozwalał, bo pragnął, ażeby lud jego przyjmował ogładę; schlebiali mu też nie mało i to, że po

wszystkich stronach świata o jego stolicy ludzie rozpowiadać będą. Lecz oprócz kupców, coraz to więcej przyciągało ludzi z lackiej ziemi. Snuli się oni oddawna na dworze książęcym, często Gedymin zamykał się z nimi i długie prowadził rozmowy, a odjeżdżając do kniei, kazał czuwać Chroniwosowi i nowych lackich przybyszów do siebie w puszcę, aż nad rzekę Świętą prowadzić.

Niebawem też po wyjeździe knezia na łowy przybył zbrojny poczet, oznajmiając, że król Polski Władysław III, co go też Łokietkiem zowią, wyprawił do wielkiego księcia Gedymina, pana wszej Litwy poselstwo, złożone z najprzedniejszych panów duchownych i świeckich, którzy tu niebawem nadciągną.

Przybyli z tą wieścią doznali jak najlepszego przyjęcia. Rozsypali się po dworach i zamczyskach litewskich, a za nimi nadciągnęli wkrótce i inni dla oznajmienia, że dostojni lacy posłowie są już tylko o kilka dni drogi od stolicy książęcej. Chroniwos, zaraz po przybyciu pierwszego pocztu, słał z wieścią do Gedymina, który wracał już właśnie ku domowi, lecz mimo obfitych łowów jakiś zły i chmurny.

Na wieść o posłach Łokietkowych rozpogodziło się oblicze knezia: zadął radośnie w myśliwską trąbę, którą chętnie się bawił, gdy był w dobrym humorze, a ujrawszy wypędzonego z gniazda tym odgłosem olbrzymiego dzika i przedzierającego się przez gęstwinę w głąb lasu, rzucił za nim oszczepem. Zwierz kwiknął chrapliwie, przeciągle, chciał się zwrócić w stronę z kądem pocisk otrzymał, lecz zachwiał się i runął całym ciężarem, nurzając się w kałuży własnej posoki, która z rozwalonego łba obficie pociekła.

Coraz jękliwsze, bardziej razdzierające głosy wychodziły z gardzieli zwierza: las je mimo gąszczy powtarzał, zwierz podrzucił się do góry z wściekłością bezsilną. Nim nadszedł pogromca, by mu się przypatrzeć, dzik drgał już tylko w ostatniemu pasowaniu się ze śmiercią, wyrzucając wraz z posoką coraz chrapliwsze lecz i coraz słabsze jęki. Gedymin z obojętnością prawdziwego zwycięzcy wyciągnął oszczep ze łba zwierzęcia, które drgnąwszy po raz ostatni, obryzgało krwią kozuch książęcy, a wyciągnąwszy się, legło już najzupełniej bezwładne.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się książę i oddawszy oszczep pachołkowi, aby go otarł z posoki, zawołał wesoło:

— No, taki to dobra wróżba dla litewskiego knezia, ba i dla całego ludu, w chwili wieści o lackich posłach, zwierz, co nam chciał zająć drogę, ubity. Tak my i Krzyżaków zachodzących w nasze ziemie ubijem.

— Na Perkuna, ubijem! — posypały się zewsząd głosy drużyny i wesołe okrzyki rozległy się po milczącej gęstwinie puszczy.

Pod tak dobrą wróżbą Gedymin wrócił do swego książęcego Wilna. Na zamku kazał robić przygotowania do przyjęcia posłów, nie spraszając jednak na ucztę, prócz Chroniwosa i kilku najzaufanych a wiernych sobie Kunigasów, prawie nikogo.

Lecz nim dojechał do stolicy, posłał do starego Tubingasa: ale tego ani pachołkowie Gedymina, ani przybysze lacy, szukający z polecenia Chroniwosa gościny w schronisku starego ślepca, nie znaleźli. Były tam tylko same niewiasty, oplakujące Grażusę; dziad uprowadziwszy ją na służbę Perkunowi, dotąd nie wrócił.

Dowiedziawszy się o tem Gedymin, będący już na zamku, zmarszczył czoło, szarpnął się niecierpliwie za brodę, a nogą łaszącego się Meszkę, kopnął tak silnie, że ten aż kilkakrotnie koziołka przewrócił.

Przynoszący wieść ze schroniska Tubingasowego umknęli skwapliwie z przed oczu gniewnego pana, a Gedymin jął chodzić po wielkiej swojej komnacie, mówiąc półgłosem do siebie niecierpliwie:

— Mojeć to sprawy i mojej dziewczki! nie potrzebuję rady Kunigasów, którzy mi swoją wolę narzucać chcieli... Tak, obejdę się bez tego starego ślepca, świętego ognia jemu już tylko pilnować a nie w sprawie ludu się wdawać!

I zamilkł, rzuciwszy się na ławę, okrytą skórą niedźwiedzią.

Po chwili znów mówił, lecz już z rozpogodzonym obliczem:

— Ba, gdy dziewczka moja zasiądzie na lackim tronie, Lubart na księstwie Wołyńskim, Olgierd odziedzyczy po mnie Wileński zamek, Kiejstut Troki i sąsiednie na wschód ziemie, to ród Gedymina wzniesie się potęgą nad inne. Tak, tak, zapanuje i Krzyżakom pod sam bok wlezie! Oj, boć ten mały Władysław wywlecze im z gardzieli zabrane ziemie!

I zamyślił się znów, a siadłszy na ławie, jak na konin, kołysał się z jednej strony w drugą i coraz ciszej ze sobą rozmawiał.

A taki to już był jego obyczaj, że gdy miał jakie ważne sprawy na głowie, siedział sam w komnacie, a biada każdemu, ktoby tę samotność przerwać się odważył. Sam ze sobą najlepiej się nagadał, i woli swojej zadość uczynił i myśl już dojrzałą objawiał kunigasom zebranym. Rzadko też który ośmielił się przeczyć kneziowi, z którego wejrzenia padała taka stanowczość, iż wszelkie nie według jego woli słowo, daremnie nawet byłoby powtarzać. To też i teraz prócz trzasku ognia na kominie i mrużenia zwiniętych w kłębek w kącie niedźwiedzi, nikt mu biegu myśli nie przerywał.

Po chwili jednak wstał i gwizdnął głośno a przeciągle; musiało to być znane gwizdnięcie, bo niedźwiedź żaden z miejsca się nie ruszył, ale drzwi się otworzyły i wszedł czuwający w przybocznej komnacie pacholek. Niósł on wielką sobolową czapą i kaftan losiowy, szyty barwistemi kolorami i złotem.

Prędko przywdział te ozdobne szaty Gedymin, a włożywszy ręce za pas, szedł do wielkiej komnaty, każąc Siewrosowi nieść przed sobą otrzymany od Krzyżaków miecz w pochwie czerwonej, Jaškowi zaś kołczan zamknięty i łuk bez strzały, na znak przyjaźni i zgody z królem, którego posłów miał przyjmować.

## XIV

Już słonko dawno schyliło się ku zachodowi, cisza po przyjęciu przyjaznych posłów zapanaowała nie tylko na zamku książęcym, lecz i w całym Wilnie. Tylko z nad szczytu świątyni Perkuna wilk żelazny zionął otwartą paszczką i dym i skry wyrzucał, mieszając je ze mgłą jesienną.

Wzdłuż ogrodzenia schroniska poświęconych dziewic przesuwiał się Jaško, przystając i nasłuchując co chwila, lecz prócz szumu gałęzi, otrząsających żółtkle liście, żaden dźwięk stamtąd nie dolatywał. Nagle przeszło nocną ciszę jakieś jęklive westchnienie, jak gdyby szamotanie się ze snem, który gwałtownie ktoś chce od siebie odpędzić, potem popłynęła cicha pieśń z za ogrodzenia...

Pieśń przeciągła, tkliwa, którą wychowaniec Wilczego Gniazda tak często słyszał w domu starego ślepca, a którą najpiękniej śpiewała Grażusa... Młodzieniec wstrzymał oddech, chcąc się tej pieśni przysłuchać, gdy nagle, tuż prawie zaświecił mu przed oczami blask zapalonego łuczywa, które wyciągnięta dłoń przechodzącego trzymała zdala od siebie, jak gdyby nią sobie chciała drogę rozświecić...

Idący jednak nie potrzebował tego, był to bowiem Tubingas, któremu noc nie przeszkadzała ciemnością, ani słonko nie pomagało swem światłem.

Szedł on szybko, trzymając syczące i miotające złotawe ognie drzazgi, na plecach dźwigał pęk ziół suchych, podparł się jak zwykle laską, a podążał od tej strony świątyni Perkuna, którą kapłani przechodzący mogli wejść o każdej porze dla złożenia objaty podróźnej. Łuczywo snąc zapalił u świętego ognia i spieszo z niem kierował się pod wzgórze, na którym stało nowowznoszące się Gedyminowe zamczysko.

Część jego była z kamienia, lecz to cząstka zaledwie, w której się mieściły książęce skarby i do której w ostateczności uchodzić mieli ludzie przed nieprzyjacielem, reszta jednak zamku była z drzewa na podmurowaniu kamiennem.

Ślepiec, pchany jakąś niezwykłą siłą, przebył okalającą zamek fosę, a szedł z taką pewnością, jakiej najlepiej widzący człek wśród jasnego dnia nie posiada; wdarł się później po wystających kamieniach podmurowania i tuż u stóp drewnianej ściany zatknął łuczywo, otaczając je przyniesionymi trawami i rzucając ciche, lecz pełno grozy wyrazy, wśród których wzywał kilkakrotnie Perkuna...

Jaško, ujrawszy idącego spiesznie Tubingasa z łuczywem, niepostrzeżenie posunął za nim.

Wyraz grozy na pomarszczonej twarzy ślepca, oświeconej krwawym blaskiem palącego się łuczywa, kazał się domyślać, iż nie próżno z ogniem w dłoni drogę tę przebiega.

Lecz Tubiugasowi, zda się, ubyłoby lat, tak szybko biegał, a w przechodzeniu głębokiej fosy, nawet zręczny i przyzwyczajony do niebezpiecznych skoków, wychowaniec Wilczego Gniazda nie mógł mu dorównać. Tem więcej, iż nie chciał, aby starzec domyślił

się czyjejskolwiek obecności; zdala więc tylko, ukryty w rowie, przypatrywał się robocie starca, wiedząc, iż żadna siła nie byłaby mu zdolną przeszkodzić.

Tubingas, dokonawszy swojej zemsty, odwrócił się ku zamkowi, podniósł obie dłonie do góry, jakby rzucał niemi pociski, a jednocześnie miotał wyrazy klątwy, które głuchem echem odbijały się od ścian otaczającego zamek parowu.

Uchodził tak, oświecony luną coraz szerszącego się ognia, który zamiast obejmować ścianę, pod którą był podłożony, zajął stos nagromadzonych, tuż po przeciwnej stronie, do dalszej budowy, berwion i desek.

Zaledwie zeszedł z podmurowania ślepiec, od drugiej strony wdarł się Jaśko i jął rozrywać palące się już drzewo, a jednocześnie zaczęto budzić się po okolicznych, rozrzuconych u stóp zamczyska, siedzibach.

Gwar i wrzask przestrachu wzrastał coraz więcej, lecz zbudzeni z pierwszego snu, nie wiedzieli, co się dzieje, i myśl o napadzie nieprzyjaciół, najpierw im przyszła do głowy.

Jeden więc brał oszczep i biegł na wroga, inny wołał do wspólnej obrony, inny jeszcze chciał uprowadzać niewiasty i dzieci, kryć dobytek i mienie, nikt nie spieszył gasić pożaru.

Tylko Jaśko rozrywał z nadzwyczajnym wysiłkiem deski, aby płomieni nie dopuścić na ścianę książęcej siedziby. Nagle jednak runęło przepalone drzewo, a z niem i dzielny młodzian stoczył się w rów, przysypany paląciami się jeszcze głowniami.

Tem zarwaniem palących się desek, ogień oderwał się od głównego budynku, resztę żaru straż zamkowa ugasiła, a schodząc, dobrze już nad ranem, w fosę, okalającą zamczysko, spotkała leżącego pod niemi Jaśka.

Potłuczony był jak jabłko leśne, spadające z wysokiej jabłoni, obłocony i oblany wodą, cuchnącą, na poły przegniłą. Lecz ta trocha wody w rowie ocaliła mu właśnie życie, bo deski palące się, w niej ugasiły, a błoto goiło jego rany.

— To ten podłożył ogień i nie zdolawszy uciec, sam runął z żarem! — zawołał ktoś ze straży.

— Perkunowi go na objatę! — krzyczał inny.

— To teu sam, co z wnukiem Tubingasowym uciekł od Krzyżaków!

— Ten sam, co go Siewros u dziada od spalenia wyprosił!

— Spalić go teraz!

— Perkun! Perkun! Tubingas! — wrzeszczano dokoła, chwytając na wpół zemdłego, i wywłókszy z fosy, podążano z nim do świątyni.

— Stójcie! — krzyknął nagle głos tuż około rozjuszonych ludzi.

Na ten głos łagodny, lecz stanowczy, ucichły gwary roznamiętnionych czcicieli Perkuna, którzy rzuciwszy biednego Jaśka, stanęli w pokorze.

— Jak śmiecie wlec czleka na objatę bez zezwolenia wielkiego Kunigasa, lub knezia Gedymina? — rzeki powoli Bernard.

Przywykli do poszanowania tego ślepeca, którego obok Tubingasa i samego księcia widywali, zaczęli się uniewinniać.

Bernard z mowy ich dowiedział się, kto był ów nieszczęśliwy młodzieniec i o co go posądzano. Tem gorliwiej więc zajął się omdlonym, rozkazawszy odnieść do swojej siedziby, gdzie jął leczyć jego rany. Wytłomaczył też zżymającym się po chwili posłuszeństwa ludziom, że powinni całą sprawę najpierw Gedyminowi przedstawić, a pod sąd starszyzny i Wielkiego knezia ją oddać.

Tymczasem o nieszczęściu przyjaciela dowiedział się wkrótce i Siewros: przybieżał więc do izby Bernarda i już obadwaj czuwali nad poranionym i oparzonym Jaśkiem.

## XV

Gedymin po uczcie z polskimi posłami zasnął snem mocno, a sen musiał być razem twardy i spokojny, kiedy go ani trzask palących się desek tuż po za ścianą zamczyska, ani luna pożaru, ani krzątania ludzi nie zbudziła. Nie zbudził też hałas i jego córy, mającej wraz z otoczeniem niewieściami w drugiej stronie zamczyska schronienie.

Słońko więc już zajrzało przez wąskie okna zasłonięte do połowy zaporą, gdy się Gedymin obudził. Nawet dym tłukący się po komnacie, nie zdziwił knezia, boć dym często z komina, gdy się miało na slotę, zawiewał. Zresztą Gedymin miał snem ważne

a przyjemne myśli na głowie, a czując się od napadu nieprzyjaciół bezpiecznym, nie zważał wiele na takie rzeczy marne.

Obudziwszy się, wzrok zaraz skierował na niewielką misternie rzeźbioną skrzynkę stojącą u jego wezłowia; spojrzawszy na nią uśmiechnął się z zadowoleniem, a potem świsnąwszy na pacholka i Meszkę, jął się spiesźnie ubierać, nie zapomniawszy ni razu pierwiej na lewą nogę włożyć chodak i lewy rękaw oponczy naciągnąć, co mu dawało otuchę, że w tym dniu nie pójdzie nic już w jego zamysłach na marne. Okrywszy bowiem najpierw lewą połowę ciała, niedozwolił już przystępu złym duchom...

Ubierając się zaś, mówił do siebie:

— Tak, to moje rodzinne sprawy! wreszcie usunął pacholka i coraz głośniejsze powtarzał:

— Tak, tak! Tak, to moje rodzinne sprawy! ha, choć i ziem takóż! No, dodał jakby dla uspokojenia siebie, ziemie... toż dla nich będzie dobrze.

I zamyślił się.

— A bogate to musi być królestwo tego Władysława, boć i dary nie szpetne! takich błyszczących kamieni i w Nowogrodzie nie łatwo ujrzy. I przeniósłszy na ławę przed komin ową wyrzynaną skrzynię, począł z niej wyjmować długie łańcuchy przetykane czerwonymi i niebieskimi oczkami, a też zausznice trzymające po cztery cale długości, i czapki szyte złotem a kamieniami.

Układał to wszystko na ławie i stole, a kamienie migotały blaskiem przed jego oczami barw tysiącem.

Gedymin przechylał na wszystkie strony głowę, odchodził i przybliżał się igrając z klejnotami jak dziecię igra z promieniem słońca, którego uchwycić nie może. Wreszcie zawołał:

— Meszka! i wskazał na drzwi ciężką zasłonięte oponą.

Meszka w susach i skokach, jeszcze więcej uwydatniających niekształtność jego cielska, podsunął się pode drzwi. Rozsunął łbem oponę, łapami oparł się o drzwi i po chwili trzymając delikatnie w zębach brzeg szaty Aldony, wprowadził ją przed ojca.

Gedymin uśmiechnął się na widok córki, poklepał Meszkę po łbie kudłatym, a gdy niedźwiedz z mrużeniem zaczął się panu przymilać, kopnął go nogą. Po tej ostatniej pieszczocie Meszka się usunął, przycupnąwszy z pokorą, a Gedymin rzekł, wskazując córce rozłożone klejnoty.

— Widziała ty kiedy takie bogactwa?

Aldona z otwartymi szeroko oczami, spojrzała na świecące się przed nią złoto i kamienie. Po chwili przymknęła powieki i znów je otworzyła.

— Oj, ta że, aż oczy bolą patrzeć na nie, rzekła, przysuwając się do ojca z pewną bojaźnią, lecz spoglądając ciekawie.

— Czy to żywe? — zapytała po chwili.

Gedymin rozśmiał się, a biorąc do ręki łańcuch, rzekł.

— Nie — one nie żyją, chociaż migocą! to są kamienie, w które stroją się królowny.

I wzięwszy wielki łańcuch, począł okręcać go koło kształtnej kibici dziewczęcia, która poddając się ojcu, drżała jednak bojaźliwie przed tą ozdobą, która ją jakby wąż do koła owijała.

Widząc jednak, że łańcuch nie dusi, chętnie już poddała szyję i uszy, na których książę z pewną dumą zawiesił długie złociste ozdoby.

— Córo moja, te śliczności, to twoje! rzekł Gedymin przypatrując się z pewną dumą stojącej przed nim i nieśmiejącej się ruszyć Aldonie.

— Tak, tobie to przysłał Władysław król lacki w darze, żądając cię w małżeństwo dla swego syna królewicza Kazimierza.

Aldona spuściła oczy i żywym spłonęła rumieńcem.

A w duchu pomyślała:

— Bogna mówiła o swatach, ale tam były pieśni i dary, a tu same tylko dary... Czemu? — i zamyśliła się głęboko.

— No, cóż, dziewczko, nie cieszysz się z takiego zamężcia? — a nic czekając odpowiedzi rzekł.

— Gotuj się, bo niedługo przyjadą posłowie, a moja córa pójdzie w lackie kraje!

I jakby uczucie ojca w tej chwili się ode zwało, przygarnął do swojej piersi stojącą dziewczeczkę.

Aldona drżąca, odurzona niezwykłą pieszczotą rodzica, nie wiedziała sama, co się z nią dzieje.

Wprędce się jednak opamiętała, pytając, jako przystało kneziowskiej córce:

— Nam przysłano dary, a co my królowi i królewiczowi polskiemu pošlemy w darze?

Gedymin zmarszczył wyniosłe czoło.

— Przyjaźń wielkiego Gedymina i jego córa więcej warte, aniżeli wszelkie te błyskotki, odrzekł dumnie książę.

Aldona jednak nie łatwo się zbyć dała. Zsunęła brwi, jakby je tam myśl w głowie do tego ruchu zmusiła, a potem rzekła schylając się do nóg ojcowskich.

— Przyjaźń król polski w zamian za przyjaźń Wielkiego knezia litewskiego daje, córkę jego bierze, dając jej swego syna, a za dary?

Gedymin szarpnął brodę i zamilkł, lecz jeszcze więcej zmarszczył brwi krzaczaste, a z tym wyrazem ojciec i córa byli tak podobni do siebie, iż nikt nie mógł wątpić, że jedna krew w ich żyłach płynie.

— Za te bogactwa dozwól mi ojczy zabrać jeńców polskich, co są u ciebie w niewoli. Gdy córa Gedymina ma być lackiego królewicza małżonką, lud jego nie może zostawać u Wielkiego knezia litewskiego w niewoli.

I nieśmiało podniosła wzrok na ojca.

Chmurna twarz Gedymina jakoś się rozjaśniła, gdy nagle w przedsionku dały się słyszeć zmieszane głosy.

Niedźwiedzie podniosły łby, jakby chciały okazać gotowość do zgromienia śmiałków, a ujrawszy wzrok Gedymina zawisły na zamkniętych podwojach, wzięły to za rozkaz i rozwarły je, stając po obu stronach, według zwyczaju, na tylnych łapach.

We drzwiach nkażal się Chroniwos, a za nim Bernard.

Chroniwos miał chmurne jakąś wewnętrzną walką oblicze. Bernard, jak zwykle ze swemi zamkniętymi oczami, postępował z pewną stanowczą rezygnacją.

— Miłościwy nam Kunigasio a Wielki kneziu Litwy, rzekł Chroniwos, pożar podłożono pod węgiel Waszego zamczyska.

— Zalać go! rzucił gniewnie kneź, zły że mu przerywają rozkoszne chwile.

— Już ugaszony — szepnął Bernard. Gedymin, jak gdyby nie słyszał odpowiedzi — zapytał:

— Wrogi? i obejrzał się na miecz wiszący nad jego łóżem.

Bogowie wiedzą! rzekł Chroniwos, tłumiąc wyraz cisnący na usta.

— Jaśko, Lach podłożył ogień! wrzeszczał tłum! krwi jego na objatę Perkunowi.

— Lach? zapytał Gedymin, a wargi mu gniewem zadrżały.

— Znalezione w fosie Jaśka, tego co uciekł z moim chłopakiem z Wilczego Gniazda, rzekł Chroniwos.

Gedymin jeszcze chmurniej spojrzal do koła.

— Ale chłopak ten poraniony był i przywalony opalonymi deskami, nie mógł więc podpałać, jał Bernard.

— Krwi jego!

— Na objatę Perkunowi!

— On już raz miał być spalony!

— Bogowie domagają się jego życia! wrzeszczał lud rozjuszony.

Tew's, rzekła Aldona, śmiało podnosząc głowę, Lacha skazywać na śmierć nie można, gdy ja mam być żoną królewicza polskiego.

Blyszcząca klejnotami książęca córa, spoglądająca z pewną powagą na lud zebrany, takie na tej wrzeszczącej tłuszczy zrobiła wrażenie, że głosy wszystkie umilkły.

Gedyminu spojrzal z zadowoleniem na córę i znowu rozjaśniło się jego oblicze.

— Obwinionego przyprowadzić przedemnie! rzekł.

— Leży bezprzytomny i poraniony! rzekł Bernard.

Baby i znachory sprowadzić — niech go okładają ziołami: żyć musi, abym się dowiedział prawdy — zawołał Gedymin. Na poły zdechłego Perkunowi na objatę rzucić nie wolno! Wołu zabić, krew rozlać Perkunowi, mięso oddać ludowi na podziękowanie bogom, żeśmy uszli pożaru! I odwrócił się od stojących.



Chroniwos i Bernard usunęli się, widząc, że księżę nie rad był mówić dalej, niedźwiedzie drzwi zatrzasnęły, a lud mrucząc po trochu, szedł jednak korzystać z darowanego wołu.

Gedymin, jak gdyby nie nic zaszło, odwrócił się do córki, położył dłoń na jej schylonej głowie i rzekł:

— Weźmiesz ich wszystkich ze sobą — a teraz idź do Bogny niech cię uczy mowy lackiej i ich obyczaj. A i o napitku lackim nie przepominaj.

Aldona przywykła do lekkiej odzieży lnianej, ledwie mogła się ruszyć w ozdobach na nią włożonych, na rozkaz, jednak ojca przeszła tam i na powrót po komnacie, a potem usunęła się do ukochanej Bogny.

Za odchodzącą Gedymin spojrzął z uśmiechem.

— Prawdziwie to kneziowska córka, dumna jako i ja — lecz ten lach co podpalił? i znowu się zamyślił:

— To bajka — dodał po chwili.

No — niechaj wyzdrowieje — mówił znów do siebie — dowiemy się prawdy! — ukarzę — gdy winien...

— Ale Aldona, jak wiedziała, co rzec do ludu! a śmiało, jakby już królowa! A te jeńce? to zaprawdę myśl księżęca.

I znów, myśli markotliwe snąc głowę jego zajęły; jakaś nieufność wybiła się na jego twarzy. Wyszedł przed zamek, nie spojrzął jednak na pogorzelsko, długą tylko z Chroniwosem wiódł rozmowę, po której i Chroniwos i księżę chmurne i zamyślane mieli oblicza.

Gedymin, jakby umyślnie, nie kierował prawie nigdy kroków w stronę, owego pogorzelska, z którego też oprócz osmolonej ściany i spalonego przygotowanego drzewa straty też żadnej nie było. I jakoś powoli i lud uciszony objatą i ucztą z wołu i sam kneź o Jaśku i o pożarze zapomniał. Ino Chroniwos wiecznie chmurny i z podelba spoglądający groźnie wymawiał synowi, że do obcych ciągnie, a tego wydartego Perkunowi kocha jako brata.

— Bratem ci on mi był tam w Wilczem Gnieździe, a i tu zawsze stawał za swojaka — odpowiadał młodzieniec i szedł do Jaśka.

A co raz więcej trapił sobie tem głowę, że kiedy patrzył na Bognę, to mu twarz Jaśka stawała w pamięci, a kiedy był z Jaśkiem, to mu się zdało, że na Bognę ogląda.

Jaśko tymczasem doglądany i leczony przez Bernarda przychodził powoli do siebie, rany mu się po zgorzelisku pogoiły, ale błądy był jak te resztki śniegu, co się w głębinach lasu w cieniu długo na wiosnę chowają. Mało też mówił i nieraz trudno było z niego słowa wydobyć. Na zapytania Siewrosa i Bernarda, jakimby sposobem znalazł się w fosie, w nocy, sam jeden podczas pożaru, potrząsał tylko głową i nic nie odpowiadał. Aż razu jednego, gdy jakoś późną już jesienią w dzień łagodny przed chatą siedział Jaśko na przyzbie społem z towarzyszami, nagle krzyknął, zerwał się, chcąc biedz przed siebie, lecz siły go opuściły upadł bezwładny. Jedną ręką oczy sobie zasłonił, drugą wyciągnął przed siebie. Bernard myślał, że jaki ból w ranach wstrząsnął tak biedakiem, lecz Siewros spojrzął w stronę wyciągniętej dłoni przyjaciela.

I on także krzyknął na wskazany widok.

Z góry schodził Tubingas z łuczywem wyciągniętej dłoni, a idąc spieszenie jako wichry chodzą, ku zamkowi Gedyminowemu podążał...

Nim Siewros zdołał przyjść do siebie starzec dobiegł ścian zamkowych, brzemień drzewa przyniesione rzucił tuż przy kamiennym murze, podłożył pod nie zapalone łuczywo, a gdy zeschłe gałęzie żywo objął ogień, Tubingas sam się na ten stos rzucił, miotając do góry wzniesionymi dłońmi, wymawiając klątwy wyrazy.

Siewros biegł do bram zamkowych, i lud zwoływał. Wyszedł nawet wywabiony krzykiem sam Gedymin, lecz gdy ujrano gorejącego na stosie Tubingasa, nikt nie śmiał ognia zalewać. Każdy stał obezwładniony w pobożnym zdziwieniu i trwodze.

Ogień podłożony tuż pod zamczyskiem, byłby jego całości zagroził, gdyby Tubingas był jak poprzednio trafił pod drewnianą ścianę, lecz kamienie rumieniły się tylko i odbijały krwawą luną, nie pękając pod naciskiem płomienia.

Gedymin, patrząc na dogasające szczątki kapłana, nagle jakby sobie coś przypomniawszy uderzył się w czoło i zapytał. A ten, co go jesienią w fosie podczas pożaru znaleziono?

— Jaśko, mój towarzysz z Wilczego Gniazda, odrzekł Siewros stojący wówczas przy księciu, on to pierwszy i dziś dziada Tubingasa zobaczył, chciał biedz, lecz nie mógł, bo jeszcze schorzały, ino ręką mi wskazał.

— Z Wilczego Gniazda! powtórzył kilkakrotnie Gedymin.

I znowu się zamyślił, lecz snąć myśli to nie były przykre, bo surowe oblicze knezia wcale się niemi nie zasępiło.

Lud tymczasem gromadził się około stosu, bo wieść się rozeszła, że Tubingas pod ścianą zamkową na ofiarę siebie bogom złożył...

Szeptano o tem różnie, nikt nie śmiało głośno wybuchnąć, bo potęga Gedymina zapanowała nad ludem.

I Gedymina obejmowała jakaś zabobonna trwoga, nie poddawał się jej jednak, a gdy pod wieczór ciało już zupełnie na węgiel się spaliło, a wiatr wieczorny chłodził spalone szczątki, co w popiół je rozsypywał, kazał wtedy przynieść wielką popielnicę glinianą i sam z należytą czcią zgarnął gorące popioły.

W towarzystwie ludu wśród należytych pogrzebowych śpiewów, modłów i zwykłych obrządków złożył te popioły w świątyni Perkuna.

Kilka dni trwały żale i płacze, lecz jesień już miała się na schyłku, wszystkiemu trzeba było kres położyć, aby się na zimowe życie zabezpieczyć. Zaraz też po skończonych obrzędach Gedymin kazał przywołać do siebie Jaśka. Przyszedł, chwając się, prowadzony przez Bernarda. Kneź spojrzał łaskawie na blade chłopię.

— Zostaniesz nie tylko na moim dworze, lecz przy mnie, będziesz mi wiernym, a będziesz moim przybocznym.

Jaśko padł do nóg Gedyminowych. Gdy powstał, kneź wpatrzył się w niego.

— Ten sam, co mi miecz krzyżacki podawał! A Lach — rzekł nawpół do siebie.

— A miecz teraz udźwigniesz? zwrócił się do Jaśka.

— W potrzebie siły się znajdą.

Gedymin się uśmiechnął, a Jaśko odtąd został przy boku książęcym.

## XVI

A dobrze, że się skończyły te domowe litewskie sprawy, bo na dwór knezia znowu przybywali goście.

Nietylko bowiem Bogna uczyć miała Gedyminową córę lackiej mowy i obyczaju, lecz wkrótce przybył znany nam już Gerward, biskup Kujawski, w otoczeniu duchowieństwa, aby przysłał swą panią nauczyć zasad świętej wiary, a w czem mu wielką pomocą był ślepiec Bernard.

Nie wydawał on się ze świętą wiarą przed nikim, po cichu tylko modlił się do Pana, by mu zesłał wytrwanie i pozwalał nawracać. Pokątnie też już wielu było przez niego do przyjęcia nowej wiary przygotowanych, a łagodnością i lekami, których się nauczył u Krzyżaków od ojca Germana, zjednywał sobie zaufanie ludu. Gdy zapotrzebowano jego pomocy na dworze książęcym, stanął z całą gorliwością wyznawcy.

Na naukach i przygotowaniu Aldony do przyjęcia Chrztu świętego, upłynęła zima, upłynęła ona w ciszy i spokoju.

Krzyżacy jakoś nie napadali, mając niesnaski u siebie i z Polską o Pomorze sprawę, o którą wciąż do papieża musieli wysyłać. Robili tuż potajemne starania i u króla czeskiego, Jana Luxemburskiego, w celu nowych napadów na Polskę. Litwie więc dali pokój, obiecując sobie, że ją kiedyś zagarną.

Ani więc Gedymin, ani nikt w jego ziemiach nie wyciągał strzał z kołczana przez całą zimę, chyba w lesie na zwierza.

Z wiosną nowi goście zawitali od polskiej strony.

Byli to możni panowie przybywający po książęcą córę. W orszaku tym było i kilka niewiast statecznych, mających stanowić otoczenie przyszłej królowej.

Przewodniczącą im była Małgorzata z Zabierzowa, niewiasta wielkich cnót, a wdowa po dzielnym rycerzu.

Gdy niewiasta ta po przybyciu na dwór Gedymina, ujrzała z za Aldony wychylającą się postać Bogny, krzyknęła, wyciągając ku niej dłoń. Bogna, spojrzawszy na przybyłą, również z krzykiem rzuciła się do jej kolan.

Matka i córka odnalazły się w chwili połączenia królewskiej pary.

Aldona, siedząca obok Gedymina, gdy ujrzała radość Bogny, uśmiechnęła się dobrotliwie.

Wielki kneź snąc z tego przywitania matka i córki dobre rokował sobie wróżby, bo twarz mu się rozpodziła wesołym uśmiechem i rzekł:

— I więcej matek lackich odnajdzie dzieci swoje. Ja, Gedymin, Wielki Książę Wilna, wszej Litwy i części Rusi, wszystkich jeńców zabranych na wojnie w waszym kraju, wraz z córą moją, Aldoną, oddaję! — mówił, spoglądając na przybyłych lackich posłów.

W odpowiedzi głowy przybyłych skłoniły się kornie, a Gerward, biskup Kujawski, z właściwą sobie godnością odrzekł w imieniu swego monarchy.

— Król polski, Władysław, a pan nasz, wielce Gedyminowi, Wielkiemu księciu wszej Litwy i części Rusi, wdzięczny jest za ten dowód przyjaźni, a nie chcąc być dłużnym, również jeńców, zabranych na ziemiach litewskich, odsyła. Ciągną oni już ku granicom Wielkiego księstwa, a za niewiele dni ukazą się u stóp tronu potężnego Gedymina!

Wieść ta obiegła lotem ptaka po całym państwie Gedyminowem, nietylko więc na dworze książęcym, lecz w całej Litwie radość wstrząsała sercem ludu, który niebawem począł się kupić około Wilna, wyczekując przybywających. Prócz tego lud cieszył się jeszcze, że z powodu zaślubin książęcej córki, będzie miał wspaniałą ucztę.

Wojacy i młodzież obiecywali znów sobie, że książę, uspokoiwszy się z weselem i posłami lackimi, na Krzyżaków lub też dalej na wschód ich poprowadzi.

Tylko Jaśko i Siewros nie dzielili ogólnej radości. Jaśko, mając czas wolny od służby przy knezi, włóczył się około gontyny, a gdy go stamtąd śpiew smętny dochodził, przystawał, słuchał, a czasem i sam pieśń smętną zawodził. Siewros znów rad był tylko wtedy, gdy wezwany przed knezia, mógł choć zdaleka dojrzeć Bognę.

Od czasu jednak, gdy się dowiedział, że Bogna w jednej z przybyłych po księżniczkę niewiastach znalazła matkę, i wraz z księżniczką do polskich ziem odjedzie i on do orszaku Aldony się wprosił.

— I ty z nami pociągniesz, wszak tam ziemia twoja — mówił mu Siewros.

Jaśko w odpowiedzi trząsnął tylko głową.

I nic go skłonić nie mogło, aby się dał namówić.

Gdy rachowano lackich ludzi, którzy mieli wracać do ziemi swojej i przed oblicze Gedyminowe ich przedstawiono, kneź rzekł do stojącego przy jego boku Jaśka.

— I tyś Lach, pewnie do swoich chciałbyś?

— Miłościwy książę, pozwólcie mi przy sobie pozostać! — rzekł Jaśko, schylając głowę.

Gedymin pogładził brodę z zadowoleniem i rzekł:

— Zostaniesz.

A potem dodał jakby do siebie:

— Oj, to *Wilcze Gniazdo* Krzyżackie miało siać niezgodę między lackim i naszym ludem, a wychowało dzielnych mołojców, co braterstwo przynaszają!

— A twój towarzysz z *Wilczego Gniazda* — dodał Gedymin — idzie w orszaku naszej córki, ciągną go tam ciemne oczy Bogny, co swoim lackim napojem wszystkich oczarowała. Idź tam do nich, swojaków o baczysz.

Jaśko, posłuszny rozkazowi, pociągnął w stronę, gdzie białogłowy mieszkały.

Tam właśnie Małgorzata z Zabierzowa ugaszczala Siewrosa, jako przyszłego zięcia, gdy Jaśko wszedł nieśmiało i stanął nieopodal Bogny, twarz jego — wydelikatniona długą chorobą, jeszcze więcej uwydatniała podobieństwo z narzeczoną Siewrosa.

Małgorzata, spojrzawszy na niego, wyciągnęła ku niemu dłoń, a nie wiedząc, co się z nią dzieje, wzywała na pomoc Jezusa ukrzyżowanego i świętych Pańskich, myśląc, że to chyba jakie czary ją oplątały.

Po niejakiem jednak wyjaśnieniu i opowieści o Wilczem Gnieździe, pani z Zabierzowa poznała w Jaśku syna, przed dwunastu laty przez Krzyżaków uprowadzonego.

I znów więc radość i łzy, jak przy powitaniu z Bogną.

Lecz i to Jaśka do powrotu skłonić nie mogło. Zresztą zostawał on przy księciu, nie łatwo więc było nim rozporządzać.

Widząc niepodobieństwo uprowadzenia go z sobą, matka skłoniła głowę mówiąc:

— Ha, Wielki książę daje nam córę, odsyła tylu jeńców, słuszna więc, żeby w Litwie został jeden, a z nami poszedł drugi wychowaniec Wilczego Gniazda.

Gdy drogi obeschły, szlakiem ku ziemiom Polski ciągnęły tłumy za córą Gedyminową, a tak liczne ślubne orszaki nikt nigdy nie widział; bo też żadna królowa nie przyniosła w wianie 24,000 jeńców wracających z niewoli, ani serc przyjaznych całego ludu, do wspólnych dążąc celów.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/morawska-wilcze-gniazdo>

Tekst opracowany na podstawie: Zuzanna Morawska, Wilcze gniazdo. Powieść z czasów krzyżackich dla młodzieży dorastającej, Gebethner i Wolff, Warszawa 1889.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Gąsior, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: Darek Dzida, srocza, Paweł Kni Żórawina, Darek Dzida.

ISBN 978-83-288-0565-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).